Dyskusja o Szeli trwa!
W następnym numerze nowe głosy.

Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 31 marca 1946 r. | Nr 12 (40)

Drugi Kongres Samopomocy Chłopskiej

Ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej łączy nas, intelektualistów ludowych, nas, pisarzy, poetów, literatów chłopskiej grupy radykalnej, nas, postępowych działaczy wiejskich — łączy, łączą i nadal będą łączyły więzy najserdeczniejsze, nadzieje najistotniejsze, plany najbardziej nam drogie.

Gdy piętnaście miesięcy temu, w ostatnim dniu grudnia 1944 r., zjechali do Lublina delegaci chłopscy z kilku zaledwie wyzwolonych skrawków Rzeczpospolitej, Polskiej, z Warszawskiego, Lubelskiego, Rzeszowskiego, Kieleckiego, Białostockiego, — z tego „Przyczółka Polski", z którego przecież, jakoby z eksperementalnej cieplarni, rozwinęło się na kraj cały ziarno *Polski Ludowej*, — wtedy to powiedział ktoś z pośród zebranych: *„Delegaci którzy dziś biorą udział w naszym kongresie, ustanawiającym statut nowej organizacji chłopskiej — Związku Samopomocy, z dumą kiedyś o tym będą wspominali".*

Ale były to czasy tak niezwykłe i dramatyczne, tyle zmian zajmujących wyobraźnię zachodziło w świecie, że powstanie Związku Samopomocy nie skupiło należnej uwagi społecznej. Właśnie nadchodziły wiadomości o zniszczeniu stolicy, budowanej przez 700 lat, a za dwa tygodnie przyszło wyzwolenie całej ojczyzny, upadek jednego z najbardziej zbrodniczych mocarstw w historii, i odbudowa państwa na innych zupełnie zasadach. W ogniu tych historycznych zdarzeń niewielu zdawało sobie sprawę, czym jest, — i czym być może nowa organizacja. Nie wielu wiedziało, że utworzenie jej jest faktem nierównie ważniejszym niż przeprowadzenie Reformy Rolnej, że jest to największy związek jaki w swych dziejach uformował lud polski, że jest to wreszcie jeden z typowych tworów nowej Polski, prawdziwa jej źrenica, twór bardziej charakterystyczny i istotny, niż wiele innych o sławie nieporównanie większej, zajmujących wyobraźnię publiczną w tym okresie wielkiej odmiany.

I dziś zresztą pozostał Związek bardziej *nadzieją*, niż ostatecznym osiągnięciem; ciągle jest on szansą spodziewaniem, możliwością, ciągle nie jest jeszcze dokonaniem, — mimo, że przecież zrobił już tak wiele. Długo jeszcze przecież działalność jego musi być połowiczna, zanim nastąpi to co jest jego celem: przebudowa rynku rolniczego, zorganizowanie gospodarki chłopskiej na najpowszechniejszej, ogólnopaństwowej płaszczyźnie, wreszcie przekształcenie warunków życia, ekonomii i kultury wsi polskiej, — na której wszak żyje 60 proc. obywateli państwa polskiego. Tu dopiero widać wpływ, jaki ta organizacja musi mieć na przyszłość już nie chłopa polskiego, a całego narodu. W tym dopiero celu ostatnim widać, o ile jest ona ważniejszą od innych reform dotychczas dokonanych, które bez niej rychło mogłyby być zachwiane i cofnięte w swym wyniku. *„To co do tej pory się stało, to jeszcze nie „reforma rolna"— to zaledwie podział ziemi"* — oto słowa, jakie padły przy założeniu Związku Samopomocy. Był on organizacją specyficznie polską, — boć przecie reformę przeprowadzono w tym czasie i na Węgrzech i w Czechosłowacji i w Rumunii a nawet w Niemczech, — ale nigdzie nie powstała organizacja tego typu co nasz Związek. Był to pomysł i wkład organizacyjny świeży, projekt do niczego niepodobny, eksperyment, który musiał szukać sobie dróg nowych. Niepodobny do systemu kołchoźniczego w ZSRR, opartego nie na prywatnych gospodarstwach, a na upaństwowionych folwarkach, — a jednak równie doniosły i ważki w wymiarze ostatecznej przebudowy: niepodobny do żadnego systemu Izb rolniczych, spółdzielni spożywczo - produkcyjnych czy innych organizacji zdecentralizowanych, istniejących i u nas przed wojną, a po wojnie w wielu państwach europejskich, — a przecież posługujący się tym samym sposobem docierania gospodarczego do dołów. Ma nasz Związek wszystkie szanse, by wykorzystać doświadczenia tamtych organizacji, i stworzyć nasz polski typ, prawdziwie nowoczesny, posługujący się osiągnięciami wszystkich dotychczasowych prób, dostosowany do naszych niepowtarzających się warunków, do naszych tradycji, nawet do naszego temperamentu i usposobienia narodowego.

Oto dlaczego my, intelektualiści chłopscy, z radością przyjęliśmy powstanie Związku. Wiele wygłoszono wtedy frazesów o nowej roli chłopa polskiego, o jego udziale w demokratycznym państwie o przebudowie systemu. Ale było dla nas zawsze jasnym, że tego rodzaju rewolucje dokonują się tylko w konkretnej pracy społecznej, którą musi udźwignąć jakiś związek. Nie mogły to być partie polityczne, w ciasnym zakresie działające, nie tyle postępowi, co doraźnym problemom poświęcone. Nie mogły to być dotychczasowe organizacje spółdzielcze, kramarskim duchem zarażone, powodowane ciasnymi tradycjami z epoki poprzedniej, gdy naginać się musiał [illegible] do ogólnego systemu gospodarczego. Musiała to być organizacja nowa, olbrzymia rozmiarem uczestnictwa członków, oparta na wynikach reformy rolnej, jednocząca cały handel wsi z miastem, jednocząca wszystkie ośrodki produkcyjne podworskie, zdolna regulować cały rynek rolny do handlu zagranicznego włącznie, wreszcie realizująca program kulturalny, jakiego do tej pory nikt w historii chłopa nakreślić i wykonać nie był w stanie.

Patrzyliśmy z niepokojem na pierwsze kroki naszej organizacji, tak trudne w kraju zdewastowanym, martwiliśmy się wspólnie wszystkimi pierwszymi trudnościami, które pewnie przejdą do historii; obserwowaliśmy jak Związek ratował reformę, zasilając chłopa w ziarno siewne, nawozy, narzędzia, bez których zrozpaczony rzuciłby ziemię; jak uczestniczył w wędrówce na Zachód, tak by nie odbyła się ze szkodą dla uprawy, — jak potem, w następnym etapie, wszedł w antagonizm ze „Społem" i spółdzielniami, z którymi jego kompetencje, przy niejasności i szerokim zakresie planowania, pokrywały się lub chciałyby się pokryć; jak trwał (i trwa) spór o resztówki z organizacjami politycznymi i innymi, które prawem kaduka objęły wcześniej te placówki produkcji rolnej, rozstrzygające o byciu i niebyciu Związku...

Popieraliśmy pismo „Chłopi" które dziś doszło do tak wspaniałego rozkwitu, że stało się głównym organem nowej wsi, dystansując pisma partyjne; wreszcie z udziałem Związku zorganizowaliśmy nasz oddział 77LP na Zjeździe warszawskim (sierpień 1945) kosztem i wysiłkiem Związku w ramach jego zamierzeń kulturalnych.

Bo jest dla nas faktem niewątpliwym że jedynie organizacja może zrealizować ową przebudowę, o której mówią hasła. Bo jest to organizacja, która jedynie będzie zdolna wieś wybronić z impasu *kulturalnego*, jakim jej zagraża obecne rozdarcie polityczne. Działają dziś na wsi siły, które pragną odgrodzić wieś od miasta, zatrzymać ją w jej dumie odrębnej, w jej etyce rolniczej, pogrążyć ją w kult agraryzmu. Sprzyja temu fakt że wieś dzisiaj, to setki tysięcy drobnych gospodarstw powstałych z reformy. To jest dość, by być panem u siebie, i dumnym, i pogardzającym resztą. Ale za mało by się naprzód posunąć, by kupić traktor i sprawić elektryczność. Właśnie *Związek*, sumując środki drobnych posiadaczy, osiąga siłę jakiej nikt nie widział, — on to sprawi maszyny, on dostarczy prąd, szkołę i asfalt na wieś.

Z konieczności, po prostu z racji swego założenia głównego, — nie będąc komunistycznym, jest przecież Związek czynnikiem *ewolucji chłopskiej* — rzecznikiem nieuchronnego postępu, który uratuje wieś od wstecznego separatyzmu.

O tym dobrze wiedzą pisarze chłopscy

Stanisław Merkisz

***

2-gi Kongres Związku, zwołany po raz pierwszy po 14 miesiącach istnienia organizacji, jest zdarzeniem tak ważnym tak obfitującym w tematy dla nas istotne, że powrócimy do niego jeszcze obszernie w następnych numerach. Dzisiaj dajemy relacjonujący, sprawozdawczy program najważniejszych problemów, które się dla nas wyłoniły na tym przeglądzie spraw chłopskiej gospodarki, jaki przyniósł Kongres.

Trzy plany: ideologia — osiągnięcia — projekt przebudowy

W JAKIEJ DEMOKRACJI?

Osiągnięcia gospodarcze Związku, przedstawione na Kongresie Samopomocy Chłopskiej, mają swoją wymowę; są potwierdzeniem tych zasad ideowych, jakie przyświecały pamiętnemu kongresowi chłopów na małym wówczas skrawku wyzwolonej ojczyzny 30 i 31 grudnia 1944 roku. „Bracia Chłopi! Po raz pierwszy w dziejach otrzymaliśmy możność współrządzenia państwem. Od nas zależy, czy potrafimy zdać egzamin dojrzałości. Czy potrafimy?... W tym celu powołujemy do życia Związek Samopomocy Chłopskiej — organizację demokratyczną życia gospodarczego na wsi". — I oto mija 14 miesięcy. Najważniejsze osiągnięcia jakie dokonały się w ciągu tych 14 miesięcy na polu gospodarczym—przeprowadzenie reformy rolnej, nacjonalizacja przemysłu, transportu, banków i kopalń i likwidacja rodzinnych trustów i zagranicznych wyzyskiwaczy są wyrazem stałej polityki nowego odrodzonego państwa polskiego, są wyrazem zasad ideowych, na jakich oparł się Związek. Formułuje je jeszcze raz na II kongresie ob. Burdzy:

1) Chłopi nie mogą dopuścić nigdy za żadną cenę do powrotu obszarniczej władzy i szlacheckiego władania na wsi polskiej, 2) Chłopi nie mogą dać się użyć nigdy więcej za narzędzie sił wstecznych i zdobytą samodzielność i stanowisko chłopa, obywatela i współgospodarza państwa, mają chronić przed zakusami reakcji. 3) Chłopi nie mogą dopuścić do powrotu tego porządku, który opierał się na wyzysku człowieka przez człowieka, na eksploatacji chłopa przez państwo kapitalistyczne, banki, kantory kupców i wiejskich wyzyskiwaczy — i wreszcie czwarta zasada, która stanowi fundament ludowej władzy i demokracji, zasada jedności chłopsko-robotniczej: chłopi nie mogą dopuścić do poróżnienia ich z robotnikami, muszą wzmocnić gospodarczą jedność narodu przemysłowo-rolniczego.

To są zasady ideowe polityki Związku Samopomocy Chłopskiej. W tych szerokich ramach mieści się szczegółowy, praktyczny program działania.

OBRACHUNEK OSIĄGNIĘĆ *)

Na początku niepodległości czekało Związek ogromne dzieło reformy rolnej, która miała dać ziemię nie bogaczom wiejskim ale chłopom nie posiadającym ziemi, lub posiadającym ją w niedostatecznej ilości. „To dążenie do wyrównania krzywdy społecznej stanowi najistotniejszą różnicę między Z. S. Ch., a przedwojennymi kółkami rolniczymi, które obejmowały zaledwie część wsi i mając podejście tylko fachowe, usiłowały podnieść kulturę rolną kraju bez rozwiązania kwestii społecznej". Droga jaką idzie Związek prowadzi do dobrobytu całej wsi, a nie tylko jej części. Dziś jeszcze wieś żyje w nędzy i tkwi korzeniami w tradycyjnej technice gospodarki, ale jutro?

Jedną z takich dróg, prowadzących ku dobrobytowi, jest rozwój spółdzielczości. W ciągu 14 miesięcy Związek zorganizował półtora tysięcy spółdzielni Samopomocy Chłopskiej. Obroty tych spółdzielni wynoszą czwartą część obrotów olbrzymiego aparatu „Społem". Zasadniczą cechą spółdzielni ZSCh jest ich wielokierunkowość — obejmują one wszystkie główne dziedziny życia na wsi, reorganizując gospodarkę rolną, przemysł, handel, i życie kulturalno - oświatowe. Podstawą ruchu spółdzielczego są resztówki popańskich folwarków oraz znajdujące się na nich zakłady przemysłu rolnego, jak gorzelnie, tartaki a także chmielniki, stawy rybne itp. Spółdzielnie przejęły dotychczas z górą 2.600 resztówek, na których znajduje się 950 młynów, 210 gorzelni, 6 browarów, 90 piekarni, 25 mleczarni, 30 olejarni, 50 cegielni i szereg innych przedsiębiorstw.

Celem skoordynowania prac oraz udzielania pomocy wzajemnej powstało w listopadzie r. ub. ogólno-krajowe Zrzeszenie Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

„Oprócz zadań gospodarczych, realizowanych przez spółdzielczość, zadaniem Samopomocy jest podniesienie poziomu rolnictwa i tutaj zadanie Związku spotyka się z działalnością Izb Rolniczych. — W najbliższej przyszłości Związek przystąpi do ostatecznej rozgrywki o likwidację Izb Rolniczych, „które miały być samorządem rolniczym, a stały się szkodliwym i kosztownym przeżytkiem".

Ważną robotę prowadzi Związek na odcinku kulturalno - oświatowym wsi. Związek prowadzi lub subsydiuje około 100 średnich szkół chłopskich, inicjuje utworzenie bibliotek gminnych, organizuje kursa kierowników świetlic i sieci korespondentów terenowych, podejmuje akcje wychowania fizycznego i zdrowotności na wsi, zorganizował pierwszy zjazd pisarzy chłopskich; dla upamiętnienia reformy rolnej ZSCh ufundował 15 stypendiów po 1000 zł miesięcznie dla chłopskiej młodzieży akademickiej, uchwala nagrody dla działaczy naukowych i pisarzy.

Związek współdziała i pomaga w odbudowie szkolnictwa rolnego, zorganizował już w kilku województwach zespoły przysposobienia rolniczeg. Posiada własne wydawnictwa o charakterze fachowo - rolniczym i społeczno - kulturalnym; celem uzgodnienia działalności w dziedzinie oświaty rolniczej z działalnością wydawniczą organizuje przy Zarządzie Głównym ZSCh Instytut Oświaty Rolniczej. Zarząd powołał również do życia Naukową Komisję Doradczą przy współudziale której opracował plan zagospodarowania resztówek pod względem sadownictwa i warzywnictwa, zorganizowania resztówek szkolarskich wydaje specjalne instrukcje rolnicze.

Na równi z realizacją reformy rolnej ZSCh zajął się gorąco sprawą osadnictwa polskiego na odzyskanych ziemiach zachodnich. W wyniku tej akcji Związek wysłał z terenów centralnej Polski w pierwszym półroczu roku ubiegłego (jeszcze przed zorganizowaniem PUR oraz przed powstaniem Komitetów Przesiedleńczych) przy pomocy swych kół terenowych ponad 80.000 rodzin chłopskich tj. około 200.000 ludzi, z tego z woj. lubelskiego 118.000 ludzi, z woj. krakowskiego 11.000 ludzi, z woj. rzeszowskiego 7.000 ludzi, z woj. kieleckiego 2.700 ludzi.

W chwili obecnej Związek Samopomocy Chłopskiej jest w Polsce pod względem ilościowym jedną z największych organizacji zawodowo - społecznych. Komórki organizacyjne objęły już wszystkie powiaty. Na dzień 1.1 1946 było zarządów wojewódzkich 14, powiatowych 245, gminnych 2264, kół gromadzkich 18.449, członków 611.972. Związek posiada 30 posłów w KRN, którzy biorą udział w komisjach poselskich, przede wszystkim w komisji rolnej, oraz w komisji spółdzielczości, aprowizacji handlu i kultury. Związek ma swych delegatów w Radach Nadzorczych instytucyj kredytowych, gospodarczych i społecznych, działających na wsi. Przedstawiciele Związku

*) *Ze sprawozdań i wypowiedzi wicepr. Fedeckiego i członków Zarządu Głównego*

biorą udział w posiedzeniach Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, w Komisji Nadzwyczajnej do walki z nadużyciami interweniują we wszystkich sprawach ważnych dla życia wsi.

Związek przeprowadza akcje siewne, żniwne, orne, pomaga, współpracuje, prowadzi i uczy. Związek przeprowadza akcje odbudowy wsi (plany na rok bieżący, odbudowa 50.000 gospodarstw zniszczonych).

GOSPODARCZA I KULTURALNA PRZYSZŁOŚĆ WSI

Lubimy powoływać się na nasze podobieństwa z Danią, ale w przedsłowiu do „Wsi duńskiej" prof. Stefan Szmidt pisze: *A jednak wieś polska i wieś duńska bardzo od siebie odbiegają. Bo wieś duńska ma za sobą ewolucję gospodarczą... Wynikiem tej ewolucji jest dobrobyt, z którego korzysta nie tylko chłop, lecz całe społeczeństwo duńskie. Tymczasem wieś polska żyje dotąd w nędzy. I ciągle jeszcze tkwi korzeniami w przeszłości".*

Bądźmy tedy wsią nie gorszą od duńskiej. Ale w takim razie trzeba nam — jak mówi poseł St. Cieślak w referacie gospodarczym— po 1) mieć również co najwyżej 28 proc. rolników w Polsce i to takich rolników, którzy orzą, sieją, i przemysł rolniczy prowadzą i przez spółdzielnie sami handlują,

po 2) dążyć więc, aby wielki przemysł w kraju rozwinąć, dokąd odpłynie część sił produkcyjnych wsi,

po 3) przemysł na wsi (przede wszystkim rolniczy) rozwijać, aby powiększyć opłacalność rolnictwa i stworzyć nowe rodzaje pracy na miejscu,

po 4) przejść na specjalizację produkcyjną w rolnictwie — co znów zwiększy opłacalność rolnictwa,

po 5) rozwinąć spółdzielczość zbytu i wymiany własnych towarów a nie surowców na towary innych gałęzi przemysłu,

po 6) nauczyć się operować masowo kredytem inwestycyjnym, który w planowej gospodarce urzeczywistni najśmielsze projekty.

A taka wieś, gdzie wzrasta specjalizacja rolnicza przemysł i spółdzielczość po 1) — jak mówi poseł J. A. Król w referacie o drogach rozwoju kultury wsi polskiej — daje pracę coraz to większej ilości chłopów a z nią zarobek, bo stwarza nowe zawody, po 2) wymagając specjalizacji, wymaga większej wiedzy, a to prowadzi skolei do wyższego poziomu umysłowego i do wyższych dochodów.

Mobilizacja do bogactwa we wsi o takich perspektywach gospodarczych prowadzi zatem przez mobilizację w warstwie chłopskiej wszystkich *potencjalnie w niej drzemiących takich uzdolnień*, jakich różnorodne, a wspaniałe osiągnięca nie tylko w polskim narodzie, ale w całym świecie ujawniały się dotąd masowo.

Dziś jak mówił J. A. Król — chłop nie tylko chce masowo pokazać te możliwości, ale chłop wie, że musi, bo on dziś odpowiada za naród jako jego rzeczywisty współgospodarz.

Na tak gospodarczo rozwijającej się wsi zaistnieją warunki do masowego startu *ludu polskiego w naród polski* a w ten sposób w historię Europy i świata nazwiskami, czynami i dziełami uczonych, wynalazców, polityków, inżynierów techników, lekarzy, organizatorów, artystów — chłopów.

Łamiąc zasadę, że chłop to tylko rolnik, będziemy mieli na wsi, podobnie jak w Danii i chłopów nie rolników (dotąd 8 milionów bezrobotnych), ale chłopów co zakładają elektryczność, budowle dla instytucji użyteczności publicznych, domy z nowoczesnymi urządzeniami, higienistów, lekarzy, oświatowców, pisarzy, tych co przemysł prowadzą, wielką spółdzielczość chłopską i pośród tego świata cywilizowanego chłopa — rolnika fachowca, oświeconego, w dobrobycie, kolegę dyrektorów i wojewodów nie tylko w prywatnej znajomości, ale i na utytułowanym fotelu. Bo ten chłop nie będzie już tylko reprezentował.

To co w referatach teoretyków Z. S. CH. zostało nakreślone tak w perspektywie gospodarczej, jak w kulturalnej, ma mocną, realną podstawę w samej robocie i osiągnięciach mas chłopskich już w tym pierwszym okresie życia Związku i jego początków.

Z tych osiągnięć, z tych prac jedno można wyczytać — chłop rzuca przekleństwo na swoją niewolę pańszczyźniana nie tylko w sensie politycznym, ale i w sensie kulturalnym. Dziewięć wieków tamowano mu drogę do życia w narodzie. Dziś chce jak najszybciej nadrobić zaległości, bo i obowiązki tego wymagają.

Postęp gospodarczy, postęp kulturalny to jest ta jedynie rzeczywista droga zrównania się obywatelskiego z „górami" narodu i dania narodowi gwarancji, że od warstwy chłopskiej Polską rządzącej nie doczeka się on ruiny i utraty znaczenia w świecie.

Jasne plany prowadzą do takiego schłopienia Polski, w którym nareszcie skarbiec utajonych wartości 3/4 narodu będzie mógł być dla ojczyzny oddany w stanie nie surowym jak ruda, ale przetworzonym w retortach fizyków i chemików, w uczelniach, w fabrykach, aby w nowoczesnej Europie stworzył nam najgodniejszą pozycję.

Józef Łosin

Sprawa chłopska w literaturze

„Sprawa chłopska w literaturze" stanowi zamknięcie broszury Stanisława Przytuły p. t. „Z historii chłopa polskiego". Ten zbiór fragmentów z dzieł wybitnych pisarzy Polski przedrozbiorowej. Polski szlacheckiej ma szczególnie silną wymowę na tle całej pracy, przedstawiającej w zwięzłym zarysie dzieje wielowiekowej niewoli polityczno-społecznej polskich mas ludowych. Ale i poza broszurą spełnia on swoją rolę: zapoznaje nas z poglądami pisarzy, którzy jeśli sami nie pochodzili ze szlachty (jak np. Szymonowicz, Staszyc, Hugo Kołłątaj), to jednak wyrośli w środowisku, którego życie duchowe określała kultura będąca wytworem szlachty i służąca jej interesom. Warto byłoby z tym zbiorem opinii postępowych pisarzy Polski przedrozbiorowej zestawić opinie dla chłopów niechętne od średniowiecznej „Satyry na leniwych chłopów" poczynając. W każdym bądź razie, praca Przytuły daje obraz walki o poprawę doli mas ludowych, walki, która polska myśl postępowa podjęła w wieku XVI (Andrzej Frycz Modrzewski) i prowadziła — pomimo przygniatającej przewagi staroszlacheckiej reakcji — aż do pierwszego swego zwycięstwa: do konstytucji majowej z 1792 roku, a po tym przez cały okres niewoli i dwudziestolecie drugiej niepodległości oraz przez czasy hitlerowskiej okupacji, aż do dekretu o reformie rolnej z dnia 6-go września 1944 roku, który ostatecznie przemienił Polskę z folwarku klas posiadających na **państwo całego narodu.**

Pamiętajmy stale, czytając pracę Przytuły, że jeżeli dziś cytowane przez niego fragmenty mają jedynie wartość dokumentu historycznego, to w momencie, kiedy powstawały, były one wyrazem protestu najczulszych sumień i najbystrzejszych umysłów swego czasu na zło, które działo się codzień i w każdym miejscu Rzeczypospolitej. **S. L**

Andrzej Frycz Modrzewski (1503—1572), De republica emendanda (O naprawie Rzeczypospolitej): Samą tylko szlachtą kwitnąć nie może, bo a któż będzie dodawał żywności nam i bydłu, jeśli żadnego oracza nie będzie? Któż nam podawać będzie odzienia i ubioru, jeśli nie będzie rzemieślników? Któż rzeczy potrzebne będzie przywoził, jeśli żadnego kupca nie będzie? Któż na ostatek będzie szlachcicem, jeśli żadnego chłopa nie będzie?...

Prawa są, jakby lekarstwa, w którego dawaniu żaden biegły lekarz na osoby nie ma baczenia... jeśliże pan czyli chłop, jeśli szlachcic, czyli nieszlachcic... tymże sposobem prawa niech się u siebie mają, aby występki winnych jednakim obyczajem karały...

De poena homicidii. (O karze za zabójstwo): Ktoby wieśniaka albo chłopa zabił, jakoby też psa zabił.

Sebastian Klonowicz (1550—1602) — Worek Judaszowy:

...kmioteczek ubogi, ustawnie do dwora
Robi sobą i bydłem aże do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Zimnem i upałem, łzami, dymem, potem,
Cierpi huny, biskupy, korbacze, gąsiory,
Osoczniki, pochlebce, podatki, pobory,
I pany furjaty, opite tyrany
Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze niż pogany.

Flis:

Jak osieł chłopek nigdy bez kłopotu
Nie oschnie z potu.
Wsi nie nasycą pana choć jednego
Jak wszystko gnie, co użną poddani
Jak by w otchłani

Szymon Szymonowicz (1558—1629), Żeńcy:

Słoneczko śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego,
Ty wstajesz, kiedy twój czas, jemu zda się mało
Chciałby on, żebyś ty od północy wstawało;
Ty bieżysz od południa zawsze twoim torem,
A onby chciał ożenić południe z wieczorem...
...Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie,
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie;
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz i naszemu dogodzisz znojowi:
A on zawsze: „Pożynaj! nie postawaj!" woła,
Nie pomnąc, że przy sierpie twój pot idzie z czoła.
Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę,
Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone
Albo na grzbiet upstrzony za to winszowanie.
Słyszysz, jakie Maruszce daje tam śniadanie?
A słaba jest nieboga: dziś trzeci dzień wstała
Z choroby, a przedsię ją na żniwa wygnała
Niebaczna gospodyni...
Patrz, jak ją katuje, za głowę się jęła —
Nieboga, przez łeb ją ciął, krwią się obluznęła.
Podobno coś mu rzekła...
Żart pański stoi za gniew i w gniew się obraca,
Ty go słówkiem a on cię korbaczem namaca.

Krzysztof Opaliński (1610—1656). Na ciężary i opresyją chłopską w Polszcze:

Serce się lęka, skóra drze, wspomniawszy
Na tę niewolę, którą cięższą, niż pogańską!
A! dla Boga Polacy! czyście oszaleli?
Najprzód jakie ciężary w samych robociznach,
Gdzie bywało dwadzieścia a kmieci albo więcej,
Tam ich ośm albo dziesięć a przecie to zrobić
Każą dziesięci, co ich dwadzieścia robiło.
Gdzie przedtem wychodziło ludzi po jednemu
Z domu, potem i po dwu, po trzech i po czterech,
Gdzie dwa dni, albo i trzy robili w tygodniu,
Teraz nie mają czasem wolnego żadnego.

Wacław Potocki (1625—1690), Satyry:

Nie jeden się też wiesi, woli na powrozie,
Niż umierać z bicia albo w gąsiorze na mrozie,
Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli przy chorem
pisarzem testamentu, sam egzekutorem;
choć więcej nie zostało tylko jedna krowa,
niech dzieci głodem pomrą — na kość ół połowa!

Ks. Piotr Skarga (1536—1612), Kazania Sejmowe (VII):

Dotknąćby i onego złego prawa, któremu kmiecie i wolne ludki Polski i wierne chrześcijany, poddane ubogie niewolnikami czynią...

Jeśli nie kupieni, ani pojmańcy, jeśli Polacy tejże krwie, nie Turcy, ani Tatarzy, jeśli chrześcijanie, czemuż w tej niewolej stękają?...

Na twojej rolej siedzi a źleć się zachowa, spędź go z swej roli, a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyń.

Starzy chrześcijanie, którzy za pogaństwa niewolniki kupne mieli, wszystkim wolność dawali jako braciej w Chrystusie, gdy się świętym chrztem z niewolej diabelskiej wyzwolili, a my wierne i święte chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą znieważamy i jako okupione bydło, gdy na swej nędze uciekać muszą, pozywamy i gdy żywności swej indzie, ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich, jak Turcy na więźnie wyciągamy.

O, co się łupiestwa nazbierało między ludźmi a zwłaszcza pany! Jakie poddanych ubogich i kmieci obłupienie, jakie uciski wszędzie!...

O, jako jako jest wiele w ty królestwie poddanych ubogich, na które królowie złym niektórym ludziom i krwie żarłokom tyrańskiego i łakomego serca wilkom, dożywocie, niewidząc, aby tacy być mieli, zapisali. Którzy uciążeni, umęczeni od nich, śmierci tylko złych onych urzędników czekają. A ledwie jest inne lekarstwo na ich wybawienie dla trudnej sprawiedliwości okrom samej śmierci...

Grzechy te i opresje tyrańskie wołają do Pana Boga, a bez pomsty być nie może, która się na wszystko królestwo obali.

Król Jan Kazimierz, Śluby:

Gdyż z wielkim bólem duszy mojej jasno widzę, że z płaczu i ucisku ludu Syn Twój, sprawiedliwy Sędzia, zesłał w ciągu tego siedmiolecia na królestwo plagi i zarazy, wojny i innych nieszczęść, przyrzekam i ślubuję, iż po przywróceniu pokoju dołożę starań ze wszystkimi stanami, ażeby lud mój polski od niesłusznych uciemiężeń i ucisku wyzwolić.

Stanisław Leszczyński (1677—1766), Głos wolny wolność ubezpieczający:

Jeżeli kogo wynosząc, mówimy: pan z panów, słuszniej mówić: pan z chłopów. Mało na tem, że chłopem jak bydlęciem pracujemy, ale co większa i niechrześcijańska, że często za psa albo za szkapę chłopa sprzedajemy...

Pan Bóg człowiekowi bez różnicy stanu dał wolność, jakiem prawem może mu kto Chłopa żadna sprawiedliwość nie ubezpieczа ani w życiu ani w jego dobytku...

Pan często z pasji albo zawziętości bez sądu może kazać stracić poddanego, czego najudzielniejszy monarcha nie czyni.

Jestże to po chrześcijańsku, ażeby mój bliźni był moim niewolnikiem i ta dusza, żeby była u mnie w pogardzie, którą Bóg tak drogo szacował i która mu jest tak miła, jak największego monarchy...

Nadaremnie będą wszystkie nasze trudy i starania przez jak najlepsze postanowienia ku umocnieniu rządu Rzeczypospolitej, który będzie zawsze podobny do owej statuy Nabuchodonozora, zrobionej z najdroższych kruszczów, ale na słabych nogach, bo glinianych.

Adam Naruszewicz (1733—1796). Szlachetność:

A ty ubogi kmiotku, za snopek skradziony
Będziesz kruki opasał żarłoczne wrony.
Bo w Polsce złota wolność pewnych regu strzeże:
Chłopa na pal, panu nic, szlachcica na wieżę.

Ignacy Krasicki (1755—1801), Pan nie wart sługi:

...Noc na kartach strawił.
Wszystko źle, zgrał się wczoraj, klejnoty zostawił.
Przyszedł kupiec z rejestrem, termin przypomina.
Trzeba oddać a nie masz. Sto plag dla Marcina.
Płacze w kącie. Więc krnąbrny!! Po plagach się schował —
Wali drugie w dwójnasób, za co nie dziękował?
...żeśmy wszyscy synowie Adama,
Ale my od Jafeta a chłopi od Chama.
Więc nam bić, a nie cierpieć, nam drzeć a im płacić.
Nie powinien pan swoich przywilejów tracić.
A zwłaszcza kiedy dawne i zysk z nich gotowy

List do St. Augusta:

Wyjeżdżając na wieś, ściśnione miałem boleścią serce, patrząc na domy, a raczej na szałasze mizernych mieszkańców. Słomą kryte były, a to pokrycie takowe, iż ani od śniegu w zimie, ani od deszczu w lecie bronić mogło, kominy nie wznosiły się nad dach; z poczerniałej ku brzegom stronie znać było, iż dym ustawiczny nieszczęśliwych mieszkańców zaślepiał i dusił. Dziecka wynędzniałe, wpólnagie tuliły się koło domu, ze wszech stron wklęsłego w ziemię błotnistą...

Ks. Stanisław Staszyc (1755—1826), Przestrogi dla Polski:

Zwyczaj zniszczył w waszem sercu wrodzoną czułość, z wychowaniem rośniecie tyrani. Wydarliście człowiekowi ziemię i prawo. A nie tylko nie czując, ale też nie myśląc, z tej krzywdy bliźniego nawet sami pożytkować nie umiecie...

Kiedy sobie pomyślę, żem Polakiem, wstyd mi dalej mówić. Kiedy sobie przypomnę, żem człowiekiem, porywa mnie rozpacz i zgroza. W pośrodku chrześcijan takie okrucieństwo! Wy, którzy powiadacie, iż wierzycie, że jest Bóg, których przekonywa dzień każdy, że przyjdzie śmierć, których religja najuroczyściej zapewnia, iż staniecie na sądzie Boga, wy poważacie się do tego stopnia wywodzić nad bliźnim waszym barbarzyństwo...

Ks. Hugo Kołłątaj (1750—1812), List Anonyma do St. Małachowskiego:

Rolnik w dobrach szlachectwa stał się rzeczą dziedzica...

Oddany na dyskrecję panu doznawał takiego losu, na jaki uprzedzenie, edukacja i pasja dziedzica wystawić go mogły. Zaprzedany nareszcie w ręce Żyda, zatopiony w pijaństwie nieoświecony, gnuśnieje w nędzy, tyle tylko szczęśliwy, ile dziedzic jego jest dobry. Jeżeli po czem, to najbardziej po stanie naszego poddaństwa miarkować możemy, co to jest wolność polska; bo któż mnie przekona, żeby człowiek znający i kochając jej prerogatywy, zżymający się na gwałt i bezprawie, z zimną indeferencją spoglądał na niewolę równego sobie co do natury człowicka...

Prawo, najlitościwszy nieba darze, jeżeli kiedykolwiek przemieszkiwanie twoje między ludźmi gruntowało szczęście narodów, zstąp dzisiaj do serc wolnych. Polaków, oświeć ich rozum i natchnij spaniałem do wolności przywiązaniem. Niech ta ziemia, którą Opatrzna ręka wolności ludzkiej przeznaczyła, nie cierpi więcej w łonie swojem najlichszego niewolnika! Niech najbogatszy i okryty wielkością obywatel odda hołd powszechny Opatrzności, szanując ludzkość w najuboższym rolniku! Niech się aby raz na tem pozna, że cała jego okazałość ubogiego ludu świetnieje potem!

Oddajmy to, cośmy mu świętokradzko wydarli, w czemeśmy prawo boskie i ludzkie zgwałcili, to jest oddajmy mu wolność i jego osoby i jego rąk!...

zestawił *M. Lipiński*

JAN BOLESŁAW OŻÓG

MUZEUM PARAFIALNE*)



Jan Bolesław Ożóg

W niebie świętym

W niebie świętym z padołów
z pantofli lilie rosną,
palą się zimą i wiosną
kadzidła czterdziestu aniołów.

Święci, pięknie tam w raju —
lubię lilie i mirrę;
wezmę fajkę i lirę,
bierzcie do swego mię kraju.

Wsadźcie na czwórkę woł
pisma, człowieka i kości,
rzućcie wszystkie sprośności
w kadzidła czterdziestu kościołów.

To relikwie! Nadzieję
buty. Już łeb ubrałem,
umyłem, uczesałem
i śmieję się, płaczę i śmieję.

Ucieczka do Egiptu

Święta Maryjka, matka Jezusa
siedzi na ośle i jedzie kłusa.

Za nią piechotką — poskrobek, kpina,
święty Józefek, niższy od syna

w drabinie stanu o kilka szczebli,
niesie na plecach pięć pił i heblí

Droga daleka, a tam została
szopa i piłka wielka i mała..

Może go wspomni teraz z przedmieścia
drewniana ława jakaś niewieścia?...

Drobna deszczułka z czerwoną żyłką,
strugana dłutkiem i rżnięta piłką?

staje na drodze, i teraz widzi:
dobrzy ludziska byli ci Żydzi...

Stoły, trumienki, koła u karet
zostały sobie w cichym Nazaret...

a tu kamienie i mgły strzępione,
a tu granica — pole zielone!

Leci miesiączek i osioł leci,
srebrna mu gwiazda na brodzie świeci,

a siwy dziadek pod chudym niebem
knyli piechotką jak za pogrzebem:

Idzie za każdą klepką szaflika,
sam taki krzywy jak motyka.

Za każdą piłką i nogą stołka,
za palcem idzie prostego kołka...

K a r a

W sakwie ze sianem narodzony wśród starych bron w stodole
w niklowych nutach okularów, błogosławił to pole,
bydło, świnie i końskie pęta, zgubione w dali żyznej,
wszystek kolor święconych jabłek młodej, świętej ojczyzny.
Miał stary brewiarz, mszał i pismo i listy od przyjaciół,
ale najmilszą radość: ziemię - rzepę z zieloną nacią.
Miał-ci i sutanną i laskę, guzatą, pełną sęków;
cudze dzieci, gdy szedł ulicą, całowały go w rękę.
Lecz za bardzo wieczność straszyła w obłoku głuchoniemym:
Porzucił biret i kropidło i powrócił na ziemię.
I odtąd zbierał stare gwoździe, jajka i szyszki leśne
i odnajdywał w woni gnoju zbuntowany krzyk pieśni.
Ujrzy zajęczą łapkę jakąś od prochu na harmonii,
i już wiersz gra mu na klawiszach z kości jak zęby koni.
Zawsze już swoje chłopskie zwrotki wycierpiane na świecie
będzie za karę, apostata, musiał nosić w kajecie.

Zdechła kobyła

Jechał chłop ze młyna
siwy nos od wina,
a za starą dzieżą
dwa antały leżą.

Na niebie strzęzoga,
hop, siup!
a koń jak stonoga.

Anioł psi i muszy
widzi: szkapsko ślepe
ciągnie je za uszy,
podtyka mu rzepę.

Strzęzoga na niebie
hop, siup,
o wodzie i chlebie!

Stękła jak fanfara
kobyła — ściwiara,
zagrały popręgi
ze starej siermięgi.

Na niebie strzęzoga,
hop, siup,
wio do Pana Boga!...

Aleć popod górą,
pod zieloną łąką
przywaliło furą
licho chłopa z mąką.

Na niebie strzęzoga
a tu
jaka licha droga!

(Modrzewiowy świątku
starego obrządku
w ogródku z trześniami
i niezabudkami,

wielce Konstantemu
po-wiem
panu Gałczyńskiemu).

Po co takie dyle
zrobili dyszlami!
wylazł bebechami.
dyszel, patrz kobyle

Na niebie strzęzoga
a tu
taka taka śmiszno droga!

Śmierć nad wozem sapie.
a chłop śpi i chrapie,
wreszcie go ukłuła
mucha w nos jak muła.

Strzęzoga na niebie,
hej, hej,
o wodzie i chlebie.

Wstał więc, patrzy, słucha
i za łeb się łapie:
dyszel w boku brzucha —
coś się stało szkapie!

hop, siup!
W krwi koloru bordo
klacz mu kiwa mordą!

Wbiła się głęboko
żerdka w serca rzepę,
otwarło się oko,
które było ślepe.

Kobyło, kobyło;
o joj,
co ci się trafiło!

Popatrzy chłopina —
żebra jak drabina.
Pociągnął z antała:
— ciągnąć mi nie chciała!

Na niebie strzęzoga,
a tu
dyszel nie ostroga.

— Dyszel nie ostroga.
nie na łące góra,
lecz i moja noga
nie zając, psiajura!

A nóż nie w popiele,
hop, siup,
zrobią ci wesele!

Wydłubię to ślepie,
w kościele przylepię,
z kich zrobię piekarnię
a ze łba latarnię.

Na niebie strzęzoga,
hop, siup,
majcher nie ostroga.

***

Wkrótce popod górą
anioł w karmazynie
złapał duszę burą,
obabraną w glinie.

Krew, nie krew i woda,
uciekała polem,
kiwała się broda
z poderżniętym wolem.

Czwororożna, chuda
wlokła się maruda,
cała osmagana
kańczugami pana.

Zapachniały zioła
wódką, koniczyną,
a białe ręce anioła
czerwoną koniną.

*) Wybór z przygotowanego do druku tomu fraszek i grotesek.

ZOFIA SOLARZOWA

Uniwersytet Ludowy w Brusie

O życiu i działaniu Uniwersytetów Ludowych wiele się dziś mówi i pisze w związku z organizowaniem kilkudziesięciu tych placówek w Polsce.

Zdania w tej sprawie są podzielone: Jedni widzą w Uniwersytetach Ludowych siłę tworzącą czynne, szczere i pogłębione życie demokracji wspartej trwałymi wartościami wsi, inni biją na alarm ostrzegając przeciwko idealistycznym i wstecznym wpływom tego wychowawczego działania.

Będę mówiła o naszym Uniwersytecie Ludowym, w Brusie koło Łodzi. Wychodzimy z tradycji Solarzowego Uniwersytetu Ludowego w Szycach i w Gaci. Niemniej w nowych warunkach i w wyniku własnych przemyśleń nakreśliliśmy sobie plan własny. Trwając w niezmiennym, zasadniczym kierunku, szczerą wolą włączamy się w życie dzisiejsze.

Przyszliśmy w sąsiedztwo robotniczej Łodzi. Pozbawiając się chłopskości środowiska i bezpośredniości wpływu przyrody — za tę drogą cenę zdobywamy możność wymiany wartości z robotniczą gromadą. Droga nasza jest ciężka, bo ciężkie podjęliśmy zadania.

Oto, chcemy w czasie wielkich politycznych przeobrażeń i zmagań wypracować w sobie te konkretne wartości, które warunkują rzetelność, wiarę i rozumne działanie człowieka bezspornie pożądanego w demokracji. Chcemy zdobyć zaufanie tych walczących z sobą ludzi, którzy, niezgodni w sposobach, ku jednemu idą celowi.

Chcemy wszystko co rzetelnie ludzkie w ruchu chłopskim zespalać z rzetelną treścią ruchu robotniczego i pracowników umysłowych.

Od trzech miesięcy pracujemy w Brusie.

W skupieniu, w wysokim napięciu myśli i uczuć, wspólnie szukamy dla siebie miejsca na ziemi, wiążąc logicznie i serdecznie wszystko to co **było** w ruchu ludowym z najśmielszą myślą idącą.

Wartość jednostki i prawo do szczęścia człowieka uzależniamy od przemian społecznych i społecznego działania jednostki.

Na wykładach, przez historię rozwoju życia, przez poznanie praw i sił przyrody, przez dzieje świata, Europy i Polski, przez dzieje rozwoju życia społecznego i gospodarczego, przez uświadomienie sobie treści duchowych w powiązaniu z kształtowaniem warunków życia, idziemy ku syntezie: Synteza, to wyzwolony z egoizmu, głęboko dobry, śmiało i samodzielnie myślący, z środowiskiem związany, społeczny i czynny człowiek.

W codziennym życiu Uniwersytetu, jego naprawdę społecznej rodziny, urzeczywistniają się przemyślane prawdy i kształtują podstawowe treści społeczne.

Wybiegamy z Brusu chętnie ku ludziom. Idziemy do Kół wiciowych, które są naszą najbliższą rodziną, do stronnictw chłopskich, do organizacji robotniczych, do środowisk nauki i sztuki.

Nie ma organizacji czy stronnictwa, nie ma zjazdu czy narady ku którym wahalibyśmy się pójść. Mimo to nie jesteśmy związani organizacyjnie z żadnym stronnictwem ani z organizacją młodzieżową, nawet ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej R.P.

Ruch chłopski i ruch ludowy w najszerszym objęciu jest naszym środowiskiem ideowym.

Umiarkowanym ugrupowaniom ruchu, chcemy dać zdolność dalekiego patrzenia. odwagę nowości i przemian.

Najradykalniejszym zaś — siłę chłopskiej tradycji, którą cechuje realność serca, cierpliwość dojrzewania myśli i instynkt działania.

Ku nauce i technice idziemy z ciekawością, uporem i z żądaniem społecznej, harmonijnej celowości.

Ku narodowi i narodom idziemy z prawem siły i urody chłopskiej, z dumą własnego dorobku i szacunkiem dla nie naszych zdobyczy.

Żyjemy prosto.

Przychodźcie do nas wszyscy. Chcemy zaufanie wasze wypracować sobie rzetelnie.

Rzetelność waszego sądu, przyjaźń waszą odważną, będziemy zdobywać po chłopsku: serdecznie, mocno i cierpliwie.

W ciężkich warunkach materialnych, w trudzie pracowitego dnia, w trudzie przełamywania uprzedzeń, wyciągamy ręce przyjazne ku wielkiemu robotniczemu miastu, ku Łodzi, z ufnością ludzi prostych.

Pomóżcie nam, miastowi ludzie, przyjść ku sobie. Wyjdźcie nam na przeciw.

Życie wasze jest ciekawe, trudne i piękne, jak życie nasze, spróbujmy bogacić je razem.

Wiążąc myśli nasze z waszymi chcemy czuć ciepło waszej krwi.

Idziemy ku wam cicho i prosto, idziemy bez haseł i zawołań. tak, jak w rodzinie narodów i ludów wchodzi chłop.

JAN RYBKOWSKI

Zagłada miasta Drezna*)

Drezno (niem. Dresden) stolica republiki Saksońskiej od roku 1918. Miasto podzielone przez Elbę na: Stare i Nowe miasto. 588 tysięcy mieszkańców. Ośrodek artystyczny Niemiec. Zwinger, muzeum, galeria obrazów, pałac Brühla z tarasami, Albertineum, (zbiory i archiwa państwowe), politechnika, Akademia muzyczna i Sztuk Pięknych, wyroby chemiczne i fajansowe, maszyny do szycia, aparaty fotograficzne, czekolada, wyroby tytuniowe, przystań rzeczna. Niegdyś słowiańska osada rybacka Drarzdzany, skolonizowana w roku 1206 przez Niemców, od 1485 rezydencja elektorów saskich z linii Albertyńskiej Wettynów, rozwój swój zawdzięcza Drezno królom polskim: Augustowi drugiemu i Augustowi trzeciemu. — Tyle mówi o mieście tym każda encyklopedia, każdy popularny przewodnik po Niemczech.

Dla nas, dla Polaków — nazwa Drezno, nazwa Saksonia, jest czymś bliskim i czymś dalekim. Czymś swoim, polskim i czymś wrogim, niemieckim zarazem. Kraj ten i jego stolica wplecione są tak ściśle w naszą tragiczną historię, że krytyczne, obiektywne spojrzenie jest prawie niemożliwe, Saksonia — to Sasi, to nasza potęga, huczne elekcje, barwne kontusze, złotolite pasy, „Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa". Sasi — to Warszawa, ogród, plac Saski, pierwszy teatr polski, Sasi — to początek tragedii naszej. Jedni szli do Sasa, drudzy szli do lasa i do Sasa szli gorsi. Dużo gorsi, ale niestety silniejsi. Leszczyński, człowiek renesansu, prawdziwej kultury zachodniej z pierwszej ręki. Magnat polski, co nie tylko kielichem i żarciem trafić chciał do sumienia swych wyborców, panów braci szlachty. Co nie szablą po łbach golonych, a piórem uskrzydlonym, nowymi prądami pisał. Pan i magnat, który chciał widzieć, że naród to nie tylko szlachta, że państwo to nie szlacheckie podwórko i ośmielił się biedak napisać o chłopie, że zagoniony, wynędzniały, pozbawiony wszelkich praw i własności, do zwierzęcia bezdusznego podobniejszy jest raczej niżli do człowieka. To wystarczyło, ażeby stał się wrogiem „świętych, złotych" praw szlacheckich, burzycielem przez Boga ustanowionego porządku. Spotkał go los, jaki spotykał wielu innych najlepszych synów Polski. Poszedł na obczyznę, ażeby tam pisać swe „traktata polityczne". Jego „głos wolny, wolność ubezpieczający", został na zawsze głosem wołającego na puszczy. Trudno w narodzie naszym być prorokiem. Został Sas, mocny, tak — August Mocny. Nie od mocy ducha i umysłu dostał ten przydomek. Łamał podkowy, giął sztaby żelazne, wypijał konwie starki, podnosił podobno konia z rzędem. Dziś z tymi „warunkami" z pewnością mógłby zostać znakomitym artystą cyrkowym, lub... SS-manem. Niestety był polskim królem. Panowie magnaci, bracia szlachta znaleźli swojego człowieka. Państwo polskie znalazło swojego grabarza. Sasi byli nie tylko polskimi królami, byli także Niemcami, a rąk ich nie cechowała tylko moc, ale i długość... Głęboko umieli sięgnąć do kasy państwowej, do dochodów z królewszczyzny i kiedy budowali jeden pałac w Warszawie, jednocześnie co najmniej trzy w Dreźnie. Umieli otoczyć się swymi ludźmi. Doskonałym ministrem był pan Brühl. W każdym razie doskonałym dla Saksonii. Chociaż mianował się ministrem polskim. Tak czy inaczej August Mocny za małe ustępstwa dla Polski (przejście na katolicyzm), za wielkie ustępstwa dla szlachty — włożył na swą wielką i twardą głowę małego, biednego książątka niemieckiego potężnie bogatą i ciężką koronę Rzeczypospolitej, Litwy i Korony. Wielki dzień dla niego. Wielkie wydarzenie historyczne dla Saksonii. Początek końca dla Rzeczypospolitej.

August Mocny i syn jego wybudowali Drezno. Z małej prowincjonalnej mieściny, ściśniętej fortyfikacjami i wałami obronnymi, które bronić jej miały przed napadami drapieżnych, wiecznie głodnych współbraci, powstała wielka, reprezentacyjna stolica. Króla polskiego stać było na to, na co nie mógł sobie pozwolić książę niemiecki. Wyszedł z ciasnych murów, rozłożył parki i ogrody, a wśród nich wyrastały rozkoszne pałace, rezydencje, zameczki myśliwskie. Splendor dworu, blask korony i złoto ściągały z całej Europy brać artystyczną i wszystkich tych, co pod skrzydłami potężnych szukają schronienia, którym okruchy z pańskiego stołu dają możność życia i rozwoju.

Powstało piękne Drezno. Jego pałace, galerie napełniały się dziełami sztuki. Jego sława rosła po świecie, jako najpiękniejszej, najbogatszej stolicy. Upadała, ubożała Polska. Sasi odeszli od nas. Polska przestała istnieć. Drezno zostało. Mimo krzywd, mimo grabieży, jakich winni byli u nas Sasi w golonych łbach panów braci, okres ten został jako wspomnienie „dobrych, starych czasów". Pogląd ten i opinię przejęliśmy wszyscy z czasem. Tak jak łatwo przejęliśmy cały szereg innych, tym podobnych, starych, pięknych, kołtuńskich tradycji. W historii raz zawiązane węzły nie rozwiązują się łatwo. Drezno i Saksonia zostały zawsze dla Polaków czymś z nas. Tam na wygnaniu Mickiewicz pisał „Dziady". Cały szereg polskich emigrantów ciągnął do Saksonii, aby znaleźć przytułek i u Sasów nie zanikło wtedy jeszcze wspomnienie prawdziwych, złotych czasów Unii Personalnej z Polską.

Nigdy Niemcy w swym odwiecznym śnie o kotlecie wieprzowym nie zapomnieli o Polsce. Tej niegdyś wielkiej, sławnej, miodem i mlekiem płynącej, która za Sasów była niemiecką, do której gospodarze wpuścili Sasów, pozwolili im jeść polski chleb, pić polski miód, na tej samej ziemi, gdzie trzy czwarte ludności głodowało, chodziło nago i boso.

Przyszedł nowy Prometeusz niemiecki, ten najlepszy znawca duszy krzyżackiej, i sen o kotlecie podniósł do godności ewangelii narodowej. Kiedy wsadził im w łapy nóż zbójecki, nic dziwnego, że pierwszym celem byliśmy my, rządzeni przez krew z krwi i kość z kości dawnych „panów braci", zaludnieni jak dawniej przez wynędzniałych, zgłodniałych, ale doskonałych do pracy niewolników.

Przyszedł wrzesień. Przyszło to, co nazywamy katastrofą wrześniową. Znów tysiące i dziesiątki tysięcy nas — Polaków, stłoczonych w towarowych zamkniętych wagonach pojechało na zachód. Tysiące panów baronów, bogatych „bauerów" na rynkach pracy wybierało w niezliczonej masie bydła roboczego. Klepano po mocnych ramionach, zaglądano w zęby. Fabrykanci odbierali towar wielkimi partiami. Grodzili zagrody, budowali baraki i interes szedł. Szedł świetnie. W okresie tym wraz z falą innych niewolników wylądowałem w Dreźnie.

Po przyjeździe do Reichu każdy cudzoziemiec zmuszony był podpisać deklarację, z której dowiadywał się, że z braku pracy i chleba w ojczyźnie przyjechał tu z własnej i nieprzymuszonej woli, aby zarobić na siebie i rodzinę w kraju. Jeżeli był Polakiem, stwierdzał dodatkowo, że olbrzymi procent jego zarobków ma być potrącony na odbudowę Polski, którą Polacy tak lekkomyślnie we wrześniu 1939 roku zniszczyli. Za swą pracę dostawał pieniądze, mieszkanie i jedzenie. Przewiewne baraki, naprędce sklecone, stare nie nadające się już do użytku hale fabryczne, stajnie, obory, zastawione pod sufit piętrowymi pryczami, były mieszkaniem. Zupa z brukwi, szpinaku lub pokrzyw — podstawą pożywienia. Pieniądze — śmieszne sumy za ciężką pracę — ironicznym symbolem zapłaty; zresztą legalnie nic nie można było za nie kupić.

Drezno, położone w samym centrum wielkiej Rzeszy, oddalone o tysiące kilometrów od walczących frontów, z dala od głównych dróg dowozowych, wiodło życie, jeżeli nie beztroskie, to w każdym razie spokojne. W latach 40, 41, 42 — do 43 alarmy lotnicze były rzadkością, zdarzały się raz na kilka miesięcy, a i to kończyło się zwykle tylko rykiem syren. W tym całym okresie artyleria przeciwlotnicza strzelała najwyżej dwa razy, a daleko w krąg nie padła żadna bomba.

Miasto pełne było łażących stadami urlopowiczów, rekonwalescentów i tych, których dopiero przygotowywano na mięso — co chodzili butni i na zadartych głowach dumnie nosili czapki z symbolem niemieckiej kultury i humanizmu, trupie czaszki i starogermańskie runy zwycięstwa SS. Wojna była daleka, zwycięska, dobra.

Na ulicach germańskim rytmem marsza waliło w bębny HJ. Grzmiały fanfary, wiały flagi zwycięstwa. W kinach na dodatkach tygodniowych, żołnierz niemiecki szedł ciągle naprzód, mijał spalone miasta, rozbite czołgi, trupy nieprzyjaciela, długie kolumny jeńców i ciągle szedł — vorwärts.

Fanfarami głośniki ogłaszały nadzwyczajne dodatki: Zajęto nowe miasta, tysiące ton zatopiono — i dzwony i „Wir fahren gegen Engeland"!

W zacisznych gabinetach partyjnych, gdy odprawiono interesantów napełniając im głowy i serca wiarą w boskość führera i bliskość zwycięstwa, szklanka dobrego, francuskiego koniaku i wonny dym macedońskiego cygara nastrajały marzycielsko. Brązowi panowie czuli się już udzielnymi książętami na swych przyszłych dobrach w Ukrainie, Polsce, Białorusi. Płynęły zwierzenia ciche i poufne o wspaniałych obrazach, dywanach, meblach, które każdy po cichutku już sobie gromadził, bo przecież na tym wschodzie trzeba jakoś kulturalnie urządzić swe rezydencje.

Po szybach tych wymarzonych pałaców zgrzytnęło jak nóż ostre słowo: Stalingrad.

Zamąciły się marzenia. Koło fortuny zmieniło swój bieg — Niemcy jednak długo nie mogli i nie chcieli uświadomić sobie tego faktu. Komunikaty wrzeszczały jak dawniej, może jeszcze głośniej, o bohaterstwie, duchu inicjatywy, wyższości sztabów niemieckich, elastycznych frontach, zaciekłej obronie, ale coraz groźniejszą była wymowa mapy, coraz częściej padały nazwy miejscowości, daleko za linią barwnych szpilek, które przed miesiącem oznaczały jeszcze front. Karty geograficzne stanowczo przestały być dobrym środkiem propagandy. Likwidowano je pospiesznie, a ich miejsce zajmowały malowidła wodza z pokrzepiającymi cytatami jego złotych myśli.

To, co działo się na frontach, było dla Niemców przykre, ale jednak ciągle jeszcze bardzo odległe w terenie. Gorzej rzecz miała się z frontem, który wisiał jak ciężka chmura nad głową. Tu nie pomagała kojąco spreparowana maść komunikatów, tu nie można było bujać, ani skrywać. Fantastyczne nawet cyfry podawanych strat nieprzyjacielskich nie zmniejszały ani grozy, ani liczby wrogich eskadr, które coraz częściej, coraz dalej w głąb kraju, w noc i dzień, o każdej porze roku, w piekielnej muzyce motorów, płynęły przez niemieckie niebo, znacząc za sobą mleczne drogi, które godzinami utrzymując się w powietrzu nie dawały zapomnieć o niebezpieczeństwie, mogącym przyjść w każdej chwili.

W Dreźnie było ciągle cicho, ale przez tylne drzwi pocztą pantoflową zaczęły dochodzić wieści o katastrofach. Rostok był pierwszym miastem, które doznało druzgoczącego nalotu aliantów. Potem przestał istnieć Hamburg i potoczyło się... Dzień za dniem dochodziły wieści o wciąż nowych, celnie wymierzonych ciosach.

Wyglądano z upragnieniem jesieni i zimy z długimi, deszczowymi nocami.

Przyszła jesień, a z nią jedno z największych rozczarowań. Ciemność i chmury stały się sprzymierzeńcami wroga. Anglicy przez wynalazek nowego aparatu nawigacyjnego, zwanego przez Niemców „amsterdamskim", mogli latać i trafiać w cel o każdej pogodzie i o każdej porze dnia.

W okresie tym zaczęła się pierwsza wielka seria alarmów nocnych w Dreźnie. Alianci zaczęli ofensywę powietrzną na Berlin. Co noc huczały motory eskadr, ciągnących na północ.

Śmierć krążyła coraz bliżej i coraz okropniej. Pewnego poranku zimowego spalony i zniszczony został Lipsk — detonacje słychać było w Dreźnie. Z dnia na dzień oczekiwano katastrofy. Nie przychodziła. Drezno oszczędzano.

Minęła zima, przyszło ostatnie lato wojenne. Fronty jak kleszcze coraz bliżej cisnęły na granicę Niemiec. Nieprzeliczone eskadry coraz częściej i coraz bezkarniej latały wzdłuż i wszerz rozbijając wszystko, co jeszcze stało.

Przyszedł dwudziesty lipiec 44 roku i na chwilę zdało nam się wszystkim, że nareszcie koniec. Na drugi dzień mój przyjaciel Johan zamiast powitania powiedział: „Deses Schwen hat wieder Glück gahabt" (ta świnia miała znów szczęście).

Ta świnia miała szczęście, Drezno go nie miało. Śmierć jednego człowieka dwudziestego lipca mogła ocalić miasto. Miażdżące koło historii musiało przetoczyć się do końca, Hitler nie zginął od zamachu. — Drezno zginęło od bomb i ognia. Był moment, kiedy Drezno zostało jedynym niemieckim miastem nie znającym bombardowania. Fakt ten sprawił, że odwrotnie do innych miast zamiast wyludniać się z dnia na dzień powiększało ilość swych mieszkańców. Alarmy lotnicze były jednak co dzień, a że trwały niejednokrotnie godzinami, stanowiły poważną przeszkodę w pracy. Wprowadzono nowy system alarmów: najpierw ostrzeżenie, a gdy nieprzyjaciel znajdował się w przelocie nad terenem miasta, podawano alarm właściwy. Drezno było jednak ciągle omijane. Czasem nieprzyjacielskie eskadry przelatywały gdzieś daleko na skraju horyzontu, połyskując srebrzyście w słońcu, jak stada białych gołębi. Niósł się od nich niski, przejmujący dźwięk huczących trzmieli. Niekiedy przeleciał odbity od eskadry czteromotorowiec, ciągnąc za sobą długą, mleczną drogę, częściej gdzieś bardzo wysoko, widoczny tylko jak króciutkie, jasne, szybko posuwające się pasemka w kształcie klingi sztyletów — szybowały myśliwce. Ciche, wyludnione alarmem ulice drgały coraz częściej echem dalekich eksplozji. Jasnym jest, że każde z miast niemieckich, a tak samo i Drezno, posiadało silną obronę artylerii przeciwlotniczej; ale czy dlatego, że uwierzono w dobre zamiary aliantów w stosunku do tego miasta, czy może dlatego, że armaty zaczęły być bardziej potrzebne gdzieindziej, w każdym razie fakt pozostał faktem, że w momencie najbardziej krytycznym zdejmowano jedną baterię po drugiej i kiedy przyszedł pierwszy nalot, miasto było zupełnie bezbronne.

Chrzest bojowy otrzymało Drezno dopiero 44 roku w początkach zimy.

W sobotnie popołudnie podczas alarmu, który trwał prawie dwie godziny, i kiedy ludzie, znudzeni długim siedzeniem w schronie, zaczęli się pomału rozłazić, pewni, że niebezpieczeństwo minęło — nagle na pełnym gazie, niskim lotem, wpadło nad miasto kilka czteromotorowców. Zaleciały z jednej strony, krótki świst — eksplozja, zakręt — nowa porcja, znów łuk, lot po samych dachach, ulice i place wypełnił ryk potężnych motorów, zagłuszając wybuchy ostatniej serii. Całe przedstawienie trwało dwie do trzech minut. Kilkaset ludzi straciło życie, rozbito dużą fabrykę, trafiono w obóz pełen cudzoziemców i jedną ulicę miasta, uszkodzono tory i dworzec przetokowy.

Wydarzenie to w skali ogólnej było jednak tak drobne, że ani Alianci, ani Niemcy nie poświęcili mu najmniejszej uwagi.

W połowie stycznia 45 roku przeżyliśmy drugi nalot: mimo, że groźniejszy od pierwszego, był jednak z kategorii małych i wyrządził nieznaczne szkody; skierowany był na teren mostu kolejowego, tak że ucierpiały tylko dzielnice, położone koło głównego dworca przetokowego.

Piętrzące się teraz z godziny na godzinę wydarzenia przygłuszyły szybko wrażenia bombardowania.

Czekano na gorsze rzeczy.

Wszystkie tereny polskie zostały oddane. Wróg przeszedł na teren Niemiec. Stracony Górny Śląsk, sforsowana Odra, Wrocław okrążony, zajęta Lignica, już tylko Nissa Łużycka jest większą zaporą między Dreznem a napierającą armią czerwoną. Berlin zagrożony.

Została jedynie wiara w cud, który w ostatniej chwili ma uratować Niemcy od zagłady.

Niemcy i tym razem wierzą, cała masa ludzi wierzy, że cud nastąpi.

Przyszedł 9 luty 45 roku. Drezno zaczęło przygotowywać się do obrony.

W nocy pozabierano z wszystkich domów sprzęt obrony przeciwlotniczej, kilofy i łopaty, aby kopać rowy przeciwczołgowe i okopy.

W dzień z placów i ulic wyjeżdżały autobusy pełne wojska i policji prosto na front, po krótkim czasie wracały, obładowane uciekinierami i ich bagażem. Bocznymi ulicami ciągnęły długie karawany chłopskich wozów, naładowanych dobytkiem i dziećmi.

Z dużą satysfakcją czytało się tabliczki na wozach. Wracali niedoszli koloniści z Polski, wracali ze zrabowanych Polakom gospodarstw i dziś znaleźli się w takiej samej, a może i gorszej sytuacji, niż ci Polacy, których kiedyś wyrzucono z ich własnych domów, ażeby osiedlić tych właśnie, uciekających teraz w popłochu, Niemców.

Szpitale przepełnione były rannymi.

Każdy pociąg idący ze wschodu wyrzucał coraz nowe tłumy uciekinierów.

Miasto, liczące w zwykłym czasie pół miliona, nagle potroiło liczbę swych mieszkańców. W tym rojowisku gorączkowo przebiegały wieści i pogłoski, nikt nie wiedział, co będzie za godzinę. Większość chciała uciekać dalej do Anglików i Amerykanów.

Dziesiątego i jedenastego lutego przygotowanie do obrony widoczne było już w śródmieściu.

Zaczęto minować mosty.

Dwunastego rozeszła się pogłoska, że Drezno ma być bronione za wszelką cenę, tak jak Wrocław. Drezno ma zmienić się w miasto—fortecę.

Przyszedł 13 luty 45 roku — dzień roboczy, jak każdy inny, ale pełen niesamowitej atmosfery podniecenia, napięcia i niepewności.

Trudno było Drezdeńczykom pogodzić się z myślą, że miasto znajduje się w bezpośredniej bliskości frontu, że lada chwila może być placem boju.

Wieczorem odwiedziło mnie kilku kolegów, zastanawialiśmy się, co robić w tej sytuacji. Przewidywaliśmy, że w ostatniej chwili może dojść do masakry cudzoziemców, nie można było dać się zamknąć w obozach, a sytuacja wyglądała coraz groźniej, coraz więcej ludzi, mieszkających na mieście koszarowano i wydostanie się z obozu było coraz trudniejsze.

Każda jednak akcja przedwczesna mogła narazić nas na momentalne represje.

Nie powziąwszy żadnych postanowień, rozeszli się koledzy do domów.

Zostałem sam. Jeszcze raz z mapą sprawdzałem zebrane wśród dnia wiadomości o sytuacji, gdy nagle pełnym głosem ryknęły syreny alarmowe. Nastrój całego dnia, niebywała dotąd pora alarmu (pół do dziesiątej wieczór), sprawiły, że ryk syren wywarł większe wrażenie, niż zwykle.

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) *Fragmenty z pamiętnika.*

STEFAN KAWYN

Zagadnienia literackie w „Pamiętnikach chłopów"

Nowe walory pisarstwa chłopskiego

Kiedy przed dziesięciu laty ukazały się staraniem Instytutu Gospodarstwa Społecznego dwa rychło po sobie następujące tomy „Pamiętników Chłopów", kiedy w nich roztoczył się obraz nieskłamany w niczym tragicznego życia współczesnego chłopa polskiego, groza przeniknęła społeczeństwo. Łamały się serca z bólu i wstydu. Zapadały postanowienia, dokonywały się uroczyste akty ślubowań, że będzie odtąd inaczej, lepiej, sprawiedliwiej. Skarga to była straszna, włos od niej bielał. Nie czas wtedy było patrzeć na „Pamiętniki Chłopów", jako na dokument zmagań autora z tworzywem literackim, świadectwo sztuki pisarskiej. Ale już i wtedy jeden z najczynniejszych pisarzy polskich, Maria Dąbrowska dostrzega w nich wiele walorów artystycznych, zaliczając owe dzieła samorodnego talentu autorskiego do pierwszorzędnych zjawisk literatury pamiętnikarskiej. Nie był to zresztą sąd odosobniony: dzieliła go spora grupa wybitnych pisarzy polskich. Wyrazem tej jednomyślności był fakt, że drugi tom „Pamiętników Chłopów" uzyskał ze strony najpoczytniejszego wówczas czasopisma literackiego nagrodę, jako najlepsza w roku 1936 książka polska.

Dziś, gdy od tego pamiętnego w życiu literackim zdarzenia dzieli nas wprawdzie niewielka stosunkowo ilość lat, ale zato jakościowo ważne doświadczenia i przeżycia, a zwłaszcza przeobrażenia społeczne, gdy żywymi oczyma oglądamy realizację w sumieniu poczętych ślubów, dziś można chyba bez obawy zarzutu estetyzowania spojrzeć na „Pamiętniki Chłopów" inaczej, ze stanowiska koniecznej dla badacza bezinteresowności.

PROBLEM ARTYZMU W „PAMIĘTNIKACH".

W tym bowiem niewątpliwym dziele sztuki pisarskiej dostrzec można najważniejsze dla artysty problematy, bądź rozwiązane, bądź tylko zaznaczone; w każdym przypadku jednak zagadnienia nie obce autorom pamiętników, zagadnienia, z którymi świadomie pragną się porać i w swoim świecie wartości rozstrzygnąć. Sam fakt istnienia w ich świadomości tego rodzaju problematu stawia autorów pamiętników chłopskich w rzędzie artystów w zakresie sztuki słowa.

Artysta nie tylko tworzy, ale także zastanawia się nad procesem tworzenia, nad pobudkami, które skłaniają do twórczości, rozważa jej cele, zastanawia się nad tym, co to jest sztuka, pragnie sobie zdać sprawę ze swego stosunku do poprzedników, do wielkiej tradycji artystycznej.

Jeżeli tego rodzaju świadomość sztuki pisarskiej i związanych z nią problematów stwierdzamy u autorów pamiętników chłopskich, to jest to dowód jawny ich rzetelności jako artystów, którzy do pracy pisarskiej przystępują z całą świadomością i z towarzyszącą jej powagą. Autorzy ci pragną zgłębić po swojemu tajemnice sztuki literackiej, po swojemu ją naświetlić, w swoisty sposób praktykować.

GŁÓWNE MOTYWY: PRAWDA I SZCZEROŚĆ.

Rzetelność pisarska i uczciwość wyraża się w „Pamiętnikach Chłopów" bardzo często w postaci dążenia do pisania *prawdy* i zawsze prawdy. Pamiętnikarze zaznaczają to z całym naciskiem, rozpoczynając lub kończąc swą pracę literacką. „Opis ten, — oświadcza jeden z autorów — nie jest żadną reklamą interesów własnych, ani też sztuką obliczoną na efekt. Lecz jest to najprawdziwsze życie, które nie jest żadnym wyjątkiem, lecz trwałą i ogólną formułą życia biedoty wiejskiej".

Podkreślają także szczerość wypowiedzi, które odsłaniają cały swój świat duchowy, niejednokrotnie zadziwiający bogactwem, jak też złożonością formy życia wewnętrznego. Obcym i odrażającym jest dla nich usiłowanie pisarza w kierunku upiększania, estetyzującego deformowania rzeczywistości oglądanej. Obowiązuje tu uczciwość obserwacji. Jak u najlepszych mistrzów pióra, tak i wśród pamiętnikarzy chłopskich obserwacja dookolnych faktów życia jest siłą czynną procesu twórczego. Fakty te stanowią materiał, z którego urasta kapitał *doświadczenia*, mądrość życiowa zdobyta w trudzie walki z przyrodą w trosce o chleb codzienny.

Dać zatem prawdę o życiu chłopskim, podzielić się osiągniętą na drogach tego życia mądrością, — oto *pobudki* pisania pamiętników.

PISARSTWO JAKO CZYN SPOŁECZNY.

Nie wszystkie przecież. Ważny jest jeszcze bodziec innej natury, głęboko wewnętrznej, psychologicznej. W życiu pełnym trudu, niedoli, w życiu bez widoków na zmianę korzystniejszą, w atmosferze przygnębienia, twórczość pisarska staje się czynnością przynoszącą ulgę przez sam fakt ujęcia zwycięskiego rzeczywistości nieznośnej i uczynienia z niej posłusznego artyście materiału. W ten sposób nie życie panuje nad pisarzem, ale pisarz włada życiem, któremu nadaje w dziele swym ujrzane w wizji kształty. Oto wymowne świadectwo tego przebiegu: „Sterany, zwichrzony tak długą męczarnią mój umysł, — powiada jeden z pamiętnikarzy, — szukał czegoś, co dałoby mu trochę choć rozkoszy i szczęścia. Nie szukałem niczego na zewnątrz, gdyż ludzie przestali mię interesować. Wszedłem w siebie szukając czegoś twórczego, czym żyjąc, mógł bym żyć. I... znalazłem! Pisać! pisać, ozwało się coś we mnie! Przelewać na papier to co myślę, czym żyłem i żyję. I rzeczywiście zacząłem pisać, wierszem i prozą, racząc się szczęściem, jakie mi to dawało. Nie chodziło mi o sztukę, ani o sławę. Pisałem, bom znajdował w tym lekarstwo na moje stargane nerwy".

Autorzy „Pamiętników chłopskich" nie myślą jednak wszyscy wyłącznie o sobie. Nie idzie im jedynie o to, by sobie jeno przynieść ulgę w trudach i troskach życia. Cel ich twórczości obejmuje również *bliźnich*. Przez ukazanie całej prawdy o życiu chłopskim pragnę zwrócić uwagę, wstrząsnąć sumieniem tych, którzy zdala stojąc od chłopa, nie wiedzą, czy wiedzieć nie chcą, jak tragiczne jest jego bytowanie, ile konfliktów, sięgających w głąb jego duszy powoduje nędza materialna, matka klęski moralnej. Otwiera się więc perspektywa społeczna twórczości pisarskiej: *czynem społecznym* wydaje się dzieło literackie poczęte z troski o dobro bliźniego, zwłaszcza o dobro stanu chłopskiego. Na tle tej solidarności klasowej, z której silnym poczuciem spotykamy się w „Pamiętnikach Chłopów", ciekawie zarysowuje się ich *stosunek do polskiej spuścizny literackiej*. Znają ją autorzy chłopscy w jej najwybitniejszych przejawach. Czytali wielkich mistrzów w zakresie sztuki słowa: mniej na ogół poezji, więcej prozy artystycznej. Mickiewicza poznawali jedynie z obowiązku narodowego. Zachwycali się zato „Trylogią" Sienkiewiczowską. Żywią szczery, niewymuszony kult jej twórcy. Piastują podziw dla jego sztuki. Czują wobec niego wdzięczność i miłość. Książka—dzieło artysty — stanowi przedmiot czci chłopa, jak zwierza się jeden z pamiętnikarzy: „powoli książki weszły do mojego codziennego życia jak chleb. Żyć bez nich nie mogłem".

NOWA IDEOLOGIA CHŁOPSKIEGO PISARSTWA.

Umie przecież chłop spojrzeć również krytycznie na tradycję literacką polską: widzi w niej znaczną przewagę elementu szlacheckiego zarówno w gronie autorów, jak też w tematyce dzieł sztuki. Zjawisko to zarysowuje się mu tym ostrzej, gdy ma do rozporządzenia materiał porównawczy zagraniczny, gdy czasu swego wychodźctwa zetknął się z literaturą obcą, przeniknięta, bardziej niż swojską — ideą postępową i demokratyczną. Z takiego pouczającego zestawienia powstaje w pisarzu chłopskim myśl, by przeciwstawić się literaturze szlacheckiej i jej tendencji lekceważenia chłopa: „...a ja wam to chcę skreślić parę słów z twardego życia chłopa, oraz robotnika polskiego i wiernego bardzo żołnierza swej ojczyzny Rzeczypospolitej Polskiej i człowieka demokratycznych pojęć. Nie będę wam pisał jak historyk lub poeta, jakiś powieściopisarz, wielki uczony, ponieważ nim nie jestem, więc niech was to nie dziwi lub obraża, że zacznę wam tu pisać czystą chłopską taką twardą, robotniczą prozą; jak umiem mówić, takim samym akcentem pisał wam będę...".

Świadomy jest więc chłop - pisarz wyższości swego stylu zrodzonego wśród znoju pracy przy pługu: wypowiada z pewnością zwycięstwa walkę sztuce układania pięknych zdań, wśród których częstokroć ginie prawda. Sztuce werbalnej przeciwstawia sztukę brzemienną doświadczeniem trudnego, bohaterskiego życia chłopskiego. Obcy wszelkiej interesowności, nie myśli o nagrodzie, w imię jedynie prawdy podejmuje trud pisarski bez względu na przeszkody. Jak ongiś „rękami czarnymi od pługa" dobywał armaty pod Stoczkiem, by dać świadectwo miłości ojczyzny, — tak dziś, by powiedzieć całą, niesfałszowaną szlacheckim narowem prawdę o polskim chłopie, ręką stwardniałą od pracy chwycił za pióro.

Głosy czytelników

O Jantku z Bugaja

Franciszek Kuś, rówieśnik Jantka z Bugaja, próbował swoich sił jako poeta ludowy jeszcze w czasopiśmie „Pszczółka". Poświęciwszy się następnie pracy nauczycielskiej porzucił twórczość literacką, nie tracił jednak nigdy kontaktu z przedstawicielami ówczesnej literatury ludowej. Udało mu się zgromadzić sporo cennego materiału w formie rękopisów i korespondencji. Ze wspomnień osobistych i fragmentów listów Jantka z Bugaja powstał niniejszy szkic. Drukujemy go ze względu na cenny materiał biograficzny oraz jako bardzo charakterystyczną wypowiedź ludowego pisarza i działacza o innym pisarzu i działaczu z tego samego terenu. To wspomnienie o przyjacielu, napisane spokojnie, rzeczowo, bez cienia patosu, bez jakichkolwiek śladów wspominkowego roztkliwiania się, zasługuje również na uwagę jako przykładowy fragment autentycznej prozy chłopskiej.

Pracując przez lat 40 w powiecie wadowickim i czytając pisma ludowe, miałem sposobność poznać bliżej życie i twórczość literacką Jantka z Bugaja. Właściwe jego nazwisko brzmi Antoni Kucharczyk. Urodził się on w roku 1874 we wsi Benczynie, przysiółku Bugaj, stąd jego literacki pseudonim, Jantek z Bugaja. Jego wieś rodzinna leży w powiecie wadowickim, a należy do parafii w Pobiedrze.

Ponieważ w jego rodzinnej wsi szkoły nie było, rodzice posyłali go do Pobiedrza. Uczyli go nauczyciele: najpierw Stefan Zaleski, a po jego przeniesieniu Władysław Małysiak.

Nauczyciele widząc u Jantusia wielkie zdolności, i chęć czytania, pożyczali mu chętnie książki z biblioteki szkolnej, a nawet ze swej prywatnej. Po ukończeniu szkoły wiejskiej wypadło Jantkowi pomagać w gospodarstwie rodzicom, bo na posyłanie go do gimnazjum rodzice jego funduszów nie mieli. Jako młokos nauczył się Jantek nieźle grać na skrzypcach i flecie i jako wiejski grajek na weselach przygrywał. Za zarobiony w ten sposób grosz kupował książki i prenumerował gazety, zwłaszcza „Wieniec" i „Pszczółkę" i zaprzyjaźnił się z ich wydawcą ks. Stojałowskim.

Jako młodzieniec zakochał się w uroczej „Magdusi", i jej swe rymy miłosne poświęcał. Pierwszym jego poetyckim utworem drukowanym był wiersz ku czci Marii Konopnickiej w jej dwudziestopięciolecie działalności pisarskiej, zamieszczony w „Przodownicy," piśmie dla kobiet wiejskich wychodzącym w Krakowie pod redakcją znanej działaczki narodowej, Marii Siedleckiej.

Odtąd zamieszczał Jantek coraz częściej swe wiersze bądź w „Przodownicy" bądź w „Wieńcu", i „Pszczółce", a także i artykuły prozą. Mimo przyjaźni z ks. Stojałowskim i współpracy w jego pismach, Jantek czynnego udziału w polityce nie brał, a gdy mu wypadło gdzieś na wiec iść, głosu nie zabierał.

Ożeniwszy się z ukochaną Magdusią osiadł na gospodarstwie w sąsiedniej wsi Paszkówce i biedę klepał. O tym swoim żywobyciu, tak w jednym liście Jantek z Bugaja pisze: „Co do mojego żywobycia, to jest ono takie, że dawno bym wyprzągnął, gdyby nie wrodzony mi humor, który jak cudowny „ekspeler" utrzymuje we mnie jaką taką energią życia, a prócz tego i moje kochane Magdusiątko, bez niej bowiem nie bardzo by mi tam wesoło było i gorzkawe niebieskie migdały. Powróciwszy z wojny światowej, zastałem dom doszczętnie okradziony. Niedługo Magdziątko moje zachorowało umysłowo. W zakładzie dra Pilca w Krakowie i w Kobierzynie przyszła do zdrowia. Koszta leczenia przenosiły cenę dwóch morgów — szczęściem otrzymałem współpracownictwo w „Dzienniku Związkowym" amerykańskiej Polonii z płacą 130—150 zł miesięcznie a czytelnicy tego „Dziennika" składką zapłacili te koszta. Charakterystyczne, że gdy prosiłem senatora Bojkę listownie, aby mi wyjednał w Min. Opiek. Społ. pomoc, odpisał mi: „Złoty Janteczku! Skarb Państwa pusty. U mnie też cieniutko, podług stawu grobelka, posłałem ci 20 mareczek..." Za te mareczki kupiłem sobie koszulę, bom na gołej skórze kamizelkę nosił. Tak mnie wspomógł ten stary piernik, co przez lat 40 tysiące miesięcznie fasował!"

„Idę dalej z moją dolą. Przed sześciu laty zachorował mi syn najstarszy Tadeusz 18-letni umysłowo, a był muzyk utalentowany — dziś beznadziejny z gorszym stanem duszy jak bydlątko. Przed trzema laty kupiłem od sąsiada 1 morg ziemi za 3100 zł. Nieszczęsna chciwość chłopska na świętą ziemię wtrąciła mnie w nędzę, bo do ostateczności morduję się, aby spłacać dług zaciągnięty na to kupno. Bez gaci jestem, w jednych portach, ale się nie dam, by mnie sprzedano. Za ten zarobek pismem w amerykańskich dziennikach wykształciłem syna Stanisława do matury. Zapisał się na prawo w Uniwersytecie Jagiellońskim, niestety przerwał studja, bo opłaty wielkie. Tyle i takie treściwe poklosie jest mojego żywobycia".

„Na pismko nasze—organ Związku Literatów Ludowych dał niejaki p. Kokoszka aptekarz w Jordanowie 200 zł, za które się wyda 1 numer o 24 stronach. Tytuł obrałem „Wieś — jej pieśń". Sądzę, że dalszy ciąg miesięcznika będzie, bo mamy zrzeszonych literatów już około 130, a sympatyków prenumeratorów sądzę, że się zbierze tyle, że 1000 egzemplarzy rozejdzie się na pewno".

Dalszy ciąg tej generalnej spowiedzi Jantka z Bugaja pomijam, dotyczy ona bowiem kalkulacji wydawnictwa „Wieś — jej pieśń", którego Jantek był naczelnym redaktorem, (był on również prezesem Związku Literatów Ludowych, którego członków skupiało to pismo.)

Franciszek Kuś
Kraków

Julian Przyboś laureatem

Pierwszą po wojnie nagrodę literacką miasta Krakowa otrzymał znany poeta, syn chłopski, Julian Przyboś za wydany w roku ubiegłym tom wierszy „Miejsce na ziemi".

Przyboś reprezentuje w poezji naszej kierunek awangardowy, jest on najwybitniejszym u nas przedstawicielem literackiego nowatorstwa, wytrwałym poszukiwaczem nowych form wypowiedzi poetyckiej. Niepodobna już dzisiaj, jeżeli chce się zostać poetą, wyminąć skromny ilościowo, ale bogaty w treść i zmuszający do głębokiego zastanowienia się nad sensem własnej pracy pisarskiej dorobek literacki Przybosia.

Działalność literacką zaczynał Przyboś w założonej przez znanego poetę i teoretyka literatury Tadeusza Peipera „Zwrotnicy", która była organem najbardziej radykalnych nowatorów poetyckich. „Zwrotnica" zwalczana gorliwie zarówno za nowatorstwo literackie, jak i za swój postępowy program społeczny, upadła wkrótce, ale wpływ jej na życie umysłowe i rozwój literatury okazał się nader doniosły. W okresie wychodzenia „Zwrotnicy" działał Przyboś nie tylko jako poeta, ale również jako teoretyk grupy i cięty polemista, atakujący odważnie najbardziej uznane wielkości naszej literatury.

Z drogi, którą wytyczył sobie jako poetycki debiutant w „Zwrotnicy" nie zszedł do dziś, realizując wytrwale swoje teoretyczne założenia. Wszystkie jego zbiorki poetyckie od młodzieńczych „Śrub" aż po wydane na krótko przed wojną „Równanie serca" i nagrodzony ostatnio tom „Miejsce na ziemi" — to kolejne etapy rozwoju poety.

Przed wojną ceniony przez nieliczny krąg szczerych miłośników poezji, doczekał się Przyboś szerszej popularności i oficjalnego uznania swoich zasług pisarskich w Polsce demokratycznej. Jest to fakt bardzo radosny, że pierwszą nagrodę literacką Krakowa otrzymał poeta „trudny", poeta-nowator i że poetą tym jest syn polskiej wsi — Julian Przyboś.

Dyskusja o Szeli

Nasz numer specjalny „Wsi" poświęcony setnej rocznicy rabacji z 1846 r. wywołał żywą reakcję wśród czytelników. Drukujemy dzisiaj dwie wypowiedzi naszych czytelników - chłopów na temat Szeli i jego roli w rabacji. Jest nader charakterystyczne, jak bardzo porusza umysły chłopskie sprawa tego pierwszego przywódcy rewolucyjnego mas ludowych z okresu porozbiorowego. Świadczy to, że chłopi nie chcą pogodzić się z tym jednostronnym osądem Szeli, jaki wydała na niego nasza dotychczasowa historja. Zagadnienie rewizji historycznej problemu Szeli staje się w świetle wypowiedzi chłopskich pisarzy i działaczy sprawą o poważnym znaczeniu.

Uderza w tych wypowiedziach jeszcze jedno: chłopi bynajmniej nie apoteozują Szeli, nie chcą by robić z niego nowego świętego narodowego. Domagają się oni po prostu **sprawiedliwości.** Ta surowa rzeczowość, ten piękny objektywizm, unikający przesady zarówno w chwaleniu ich i w ganieniu, świadczy najlepiej o sumienności tych przedstawicieli chłopstwa polskiego, którzy podejmują się obrony oczernianego bezlitośnie przez szlacheckich historyków przywódcy chłopskiej rewolucji.

Z wiekowej nienawiści

Wezwanie przez redakcję „Wsi" czytelników do podjęcia dyskusji nad „sprawą Szeli" uważam ze wszechmiar za celowe i pożyteczne. Sprawa Szeli (tak będę nazywał temat dyskusji) nie znalazła dotychczas bezstronnego badacza i krytyka. Pamiętam reprodukcję medalu zatytułowanego: „Twórcom rzezi galicyjskiej 1846 r. ks. Metternichowi i Szeli". (Medalion wybity w 1846 roku w Paryżu, — zbiory Muz. Nar. w Rapperswylu). Medal wyobraża popiersie Szeli i Metternicha. Wokół medalionu napis: „Zgrozie i przekleństwu świata", a dalej „Narzędzia polityki szatańskiej Galicji, zbójcy i oprawcy" i pod napisem lista osób, które brały udział w rabacji.

Ten obraz i treść medalionu była jak gdyby dyspozycją szkolnych lekcji historii, w „naukowym" naświetleniu.

Jak obecnie patrzymy na Szelę?

Nie powracam do analizy stosunków politycznych poprzedzających rok 1846.— W zwięzłej formie naszkicował je autor artykułu „Szela i jego historyczna prawda". Chodziłoby o uzupełnienie: przebiegu rzezi galicyjskiej i jakie czynniki złożyły się na wypadki galicyjskie 1846 r.

Najważniejszy z nich, to współżycie wsi i dworu — chłopa i obszarnika.

Obszarnik ściągał od chłopa dla siebie pańszczyznę, dla państwa austriackiego rozmaite robocizny, rekruta, podatki oraz wykonywał w imieniu rządu i cesarza „policję i sądownictwo nad wsią".

Stanowisko więc szlachcica wobec chłopa w niczym się nie zmieniło na przestrzeni od 16-go i 17-go stulecia do 1846 r., — tylko szlachta utrwaliwszy własną państwowość, przeszła na karierowiczostwo i służbę do innych „panów", — w tym wypadku do cesarza austriackiego.

Rok 1846 przypada na okres rozkwitu przemysłu na Zachodzie, wzrostu klasy robotniczej i jej uświadomienia klasowego. Tego w tym okresie w Galicji absolutnie nie ma. Nie ma tu klasy robotniczej. Galicja żyje zacofanym feudalno - rolniczym życiem.

W tych warunkach chłop jako warstwa społeczna jest odosobniony i takim pozostanie jeszcze dziesiątki lat po krwawej rabacji.

Rząd austriacki z wiadomych przyczyn celowo utrzymywał takie stosunki w Galicji, a w częstych zatargach między wsią a dworem władze rządowe świadomie i celowo stawały po stronie chłopa, grały na ciemnocie chłopskiej i samolubstwie szlachty

Przy takich panujących stosunkach łatwo było biurokracji austriackiej w Galicji wykorzystać wszelkie atuty w walce z bezplanową robotą emisariuszy Towarzystwa Demokratycznego.

Oto jak pisał starosta lwowski Milbacher do mandatariusza w Humieńcu:

„Lwów 22. lutego 1846. L. 46.

Zwołaj pan wszystkich chłopów z kosami i każ im pan wszystkich buntowników pochwytać, a jeżeliby się bronili, zgładzić. Urlopownicy powinni pomagać, pan komisarz Klossonz przybędzie tam i przyniesie pomoc dzielnym chłopom; w tarnowskim cyrkule chłopi poradzili sobie dobrze, schwytali 108, pomiędzy nimi czterech hrabiów, i zabili 27.

Masz pan sposobność do stwierdzenia swojej wierności dla Najjaśniejszego Pana i oczekuję też tego: odwaga i energiczne działanie doprowadzą do zasłużonego ukarania buntowników. Donoś mi pan o wszystkim. Milbacher".

Werbunek chłopstwa przez rząd austriacki odbywał się różnymi drogami. Rozpuszczano pogłoski, że cesarz chce znieść pańszczyznę, a opierają się temu panowie, że szlachta chce sprawić rzeź chłopów, oraz że cesarz zawiesił na czas pewien dziesięcioro przykazań boskich.

Przygotowania poczynili poszczególni starostowie: w cyrkule tarnowskim Breindl von Wallerstern, w bocheńskim Bernd i inni.

Chłopi otrzymali instrukcje, a przywódcy band datki pieniężne.

Przywódcami band chłopskich byli urzędnicy starostw, bądź to urlopowani, jak Krynicki, bądź też w czynnej służbie, jak Leśniewicz, Chomiński.

Wiadomość o wymierzaniu przez chłopów sprawiedliwości na panach dociera nieraz do głuchej wsi. Wiekowa nienawiść i poczucie krzywdy, a zarazem wiara w siłę i poparcie nakazuje spontaniczne organizowanie się i wystąpienie przeciwko znienawidzonemu panu

A teraz sprawa Szeli.

Wspomniany Breindl w swych pamiętnikach pisze: „Szela słuchał mego rozkazu i rozwiązywał złączone gminy na moje polecenie".

Jasnem jest, że Szela mający wszelkie kwalifikacje przywódcy oraz organizatora bezkrytycznie rozkazów Breindla byłby nie wypełniał. A jeżeli je wypełniał, to działać musiał po otrzymaniu pewnych zapewnień i obietnic ze strony Breindla. Nie były to bynajmniej obietnice tego rodzaju, że otrzyma „największy medal honorowy złoty za szczególną wierność okazaną tronowi" i pieniądze. Zresztą medal taki otrzymał reskryptem z 10. VII. 1847.

Obietnice Breindla były jasno sprecyzowane na chłopski rozum Szeli —: Chłopi wypędzą i wytępią obszarników, a w zamian za to zniesiona będzie pańszczyzna, zniesione będą podatki i inne świadczenia wobec panów.

Ale Szela nie zadowolił się obietnicami. Domagał się od starosty ich spełnienia, i groził staroście, że w przeciwnym razie nie pozostanie z Tarnowa kamień na kamieniu. W celach zapobiegawczych przesiedlono go na Bukowinę na samodzielne gospodarstwo.

Prócz Szeli występują inni przywódcy, jak Koryga i Stępiel w bocheńskim powiecie.

Ogółem rząd austriacki w dowód nagrody wydał chłopom i wójtom 14 złotych medali za wierność i kilkadziesiąt nagród pieniężnych dla wsi i pojedyńczych chłopów, od 1000 do 50 reńskich, a oprócz tego specjalne podziękowanie cesarskie.

Nie należy wątpić, czy nagrody te przyjmowane były z należytym zrozumieniem. W chwili nagradzania zachowywali się na pewno tak, jak w innych okolicznościach zachowywał się sienkiewiczowski Bartek-Zwycięzca.

Odrębnie napewno pojmował nagrodę Szela. Poraz pierwszy w życiu dopuszczany do przeprowadzenia rozmów z przedstawicielami władz, mający za sobą posłuch mas chłopskich, Szela nabrał chłopskiej pewności siebie, stawał się hardy, czujący siłę i krzepę w sobie. Ale rozum Szeli nie mógł objąć całości wydarzeń. Szela nie znał ani ekonomii ani histori ruchów socjalnych.

Zniesienie poddaństwa pociągało w konsekwencji osłabienie przemocy austriackiej, wobec czego ruch socjalny w połączeniu z ruchem wolnościowym mógł dać pełną swobodę klasie chłopskiej.

Tego nie mógł wiedzieć Szela, tak jak nie wiedział tego Stiepan Razin. Następnie rola, jaką odegrał Jakub Szela, jest małym wycinkiem w szerokim akcie rabacji. Takich jak Szela było wiele, chociażby jak wspominani już Koryga i Stępiel. Nietylko Szela otrzymał od rządu cesarskiego złoty medal i nagrodę. W końcu nie tylko Szela mógł być rozgoryczony na rząd austriacki, który chociaż obiecał chłopom zniesienie pańszczyzny, obietnicy nie dotrzymał. W tym wypadku Szela miał jak najmniej powodów do niezadowolenia, ponieważ z chłopa pańszczyźnianego stał się chłopem samodzielnym na własnej zagrodzie na Bukowinie. Od czasów rabacji postaci w rodzaju Szeli w naszej historii nie spotykamy.

Spotkać zaś możemy różnych Szelów idących na barykady wraz z klasą robotniczą, — jedyną świadomą i przodującą klasą, która prowadzi bezwzględną walkę z uciskiem. Szela zaś pozostanie dla nas jako przykład zarówno wielkich wartości moralnych jak i dużych wad polskiego chłopa.

A. KOST.

Szela — Dembowski

W stulecie powstania r. 1846, i równocześnie z nim wybuchłej rewolty chłopskiej tz. „rabacji", która była zwrócona przeciwko powstańcom względnie szlachcie, intrygują badaczy tych czasów dwie główne postaci, bohaterów powstania i rabacji: płomiennego demokraty i patrioty Edwarda Dembowskiego, jednego z przywódców powstania — i przywódcy rabacji chłopskiej Jakuba Szeli, chłopa ze Smarzowej w pow. Pilzneńskim. Ale podczas gdy o Dembowskim napisano już cały szereg pochlebnych publikacji, o Szeli plątają się ciągle jeszcze po pismach i broszurach historie niesamowite w swej grozie. Pisarze szlacheccy zrobili z Szeli potwora w ludzkim ciele, postać odrażającą, skalaną krwią, płatnego najemnika rządu austriackiego.

Nowe badania odrzucają jednak stanowczo te niesprawiedliwe opowieści o Szeli.

Szela był pojętym uczniem swej epoki, nie lepszym ni gorszym od pastwiącego się nad chłopem szlachcica, perfidnego starosty Niemca Breindla, czy tysięcy innych chłopów, dyszących zemstą za doznane krzywdy. A może był nawet lepszy od tamtych. I chociaż skalano jego pamięć, bo mu nawet i Wyspiański w swoim „Weselu" nie darował, Szela powinien być i będzie zrehabilitowany, bo na to zasłużył. Czyim zresztą dziełem była rabacja? Czy Szeli? Nie! Była ona owocem tyrańskiego stosunku pana do chłopa, rezultatem utrzymywania go w ciemnocie, wpajanej mu przez takich „przewodników" jak rząd, szlachta i kler.

Nie była zresztą „rabacja" w Galicji niczym nowym. Na przestrzeni naszych tysiącletnich dziejów nieraz się chłopi zrywali do walki ze swoimi ciemiężycielami i nieraz zalali sadła za skórę szlachcie, choć nic nie wskórali.

O najstarszej takiej rabacji wspomina w swojej „Historii Polskiej" biskup Naruszewicz: (t. I str. 261).

„W r. 1036 pomnożyła się domową nieszczęśliwością chłopska na panów rebelia. Pamiętni swoich krzywd, uciemiężeni kmiecie jedni przez zemstę, drudzy jakąś zarazą omamieni porzuciwszy pługi udali się na rzeź swych dziedziców. Porobiwszy sobie hersztów, stawiali przez dłuższy czas opór zbrojny panom. Wiele miast, wiosek i dworów rozhukana swawola w perzynę obróciła, że w krótkim czasie ledwo nie cała została pustynia".

Naruszewicz nie podaje wstydliwie powodów tej rebelii, nie wymienia nazwisk żadnego „herszta", ale już to krótkie wspomnienie o pierwszej w dziejach rubachwce chłopskiej daje dużo do myślenia. Bo jakżeż wielkie musiały być krzywdy chłopów, jeżeli już w czasach Mieszka II w mało zaludnionym kraju, wśród lasów gęstych błot i trzęsawisk, jakie wtedy w Polsce istniały, potrafili się chłopi zebrać na jednym miejscu, ażeby ruszyć z pomstą na swych ciemiężycieli.

Wszyscy historycy zajmujący się tymi czasami, robią Szelę przywódcą rabacji i to jest prawda. Ale nie jest prawdą, że Szela był ze wszystkich mścicieli najokrutniejszym, najbardziej żądnym krwi szlacheckiej. Prawdą jest natomiast, że był on jedną z najciekawszych postaci z galerii przywódców chłopskich, o wielkiej wśród ludu popularności.

Nie chodził do szkoły, bo ich nie było, ale umiał czytać i pisać. Sztuk tych nauczył się prawdopodobnie w służbie wojskowej, którą skończył w randze feldfebla czyli sierżanta. (Służba wojskowa trwała w owych niespokojnych czasach długo, bo 8 — 12 lat). Był chłopem oczytanym, statecznym, rozumnym, choć zapewne patriotą polskim nie był, bo i kto mu miał ten patriotyzm wpoić? Czy może szlachta, która jedynie wysysała ze wsi wszystkie soki? I jakże potępiać Szelę za brak patriotyzmu i poczytywać mu za złe, że do powstania nie poszedł — a nawet przeciwko niemu się zwrócił, jeżeli i wielka część szlachty także do powstania odnosiła się niechętnie, bo tak była zapatrzona w blask austriackiego dworu, skąd padały zaszczyty ordery i tytuły hrabiowskie.

Patriotą nie był, szlachty nienawidził, bo widocznie miał za co, ale znowu tak bardzo grzesznym człowiekiem nie był. Nie on rozpijał chłopów, ani orgii pijackich nie urządzał. I nie on płacił za głowę szlachcica żywego 10 reńskich a za głowę zabitego 5 reńskich. Robiły to urzędowe kreatury austriackie „—Inni szatani byli tam czynni" — mówi o tych złowrogich czasach pieśń. —

Wszystko przemawia za tym, że Szela nie był sobie zwyczajnym, ciemnym, tuzinkowym chłopem. W każdym razie był oryginałem, wybijającym się ponad otoczenie i zapewne ciasno mu było — jemu przyzwyczajonemu w wojsku do rozkazów i porządku, do pracy dla siebie a nie dla panów w obręczach pańszczyzny. Za to nienawidził szlachtę całą duszą, szedł na swojego pana ze skargą pono aż kilkadziesiąt kilometrów ze Smarzowej do Lwowa, do Gubernatora.

Może tkwił w nim talent wodza, może przewyższał swadą, samorodnym rozumem i rozgarnięciem wszystkich wokoło, więc jemu przyszło przejść do historii jakże nieszczęsnych wtedy dziejów Polski jako jednostce szkodliwej, choć w innych warunkach powinien być i napewno by został jednostką pożyteczną.

Że Szela nie był żadnym „krwiopijcą" ale człowiekiem ogólnie szanowanym, świadczy najlepiej fakt następujący:

Gdy z okazji wstąpienia na tron nowego cesarza austriackiego Franciszka Józefa I ówczesny biskup tarnowski ks. Wojtarowicz wydał galowe przyjęcie, na które oprócz różnych austriackich i polskich dostojników zaprosił także Jakuba Szelę. Wspomina o tym poseł dr. J. Putek w książeczce p.t. „Pierwsze wystąpienie polityczne włościaństwa polskiego w latach 1848 — 1861". A czy jest w ogóle do pomyślenia, żeby biskup zapraszał na obiad krwią bratnią skalanego Szelę, i czyż siedziała by z nim i bawiła się, gdyby tak było — „śmietanka towarzystwa"?

Tragedią Szeli było, że urodził się w czasach, w których nie mógł gdzie indziej rozwinąć swego talentu wodzostwa, jak w rabacji — bo urodził się może o wiek za wcześnie. W demokratycznym ustroju wysunął by się niechybnie na czoło ruchu ludowego, został by jakimś poważnym działaczem.

Szela, jak stwierdzają pisarze, którzy podjęli się jego rehabilitacji — np. Janik i Lipiński*) — nie mordował sam ani nie brał udziału w różnych orgiach pijackich swoich podkomendnych. Kierował tylko akcją i wydawał chłopom odpowiednie rozkazy, co do uwięzienia i odebrania broni powstańcom.

Zemścił się tylko srodze na całej rodzinie Boguszów, ale była to już zemsta boleśnie dotkniętego ojca, bowiem jeden z rodziny Boguszów uwiódł mu córkę. Wymierzył sobie sam sprawiedliwość, bo o nią nie mógł by się i tak nigdzie doprosić, ale tak samo postąpiliby w takim wypadku i w stosunku do niego Boguszowie.

Lipiński przypuszcza, a nawet zdaje się być pewnym faktu, że Szela mógł być uczniem Dembowskiego.

Nie zakrawa to na prawdę. Nie ma pewności, że Dembowski objeżdżał wszystkie te powiaty, które były objęte później groźnym płomieniem rabacji, a jeżeliby się nawet Dembowski ze Szelą spotkali — i gdyby Dembowski wywierał jakiś wpływ na Szelę, to dlaczegóż się później ich drogi rozeszły? Dlaczego Dembowski był duszą powstania, a Szela wystąpił przeciwko powstańcom — gdyby byli uzgodnili poglądy?

Tak Szela, jak i wszyscy chłopi biorący mniej lub więcej czynny udział w rabacji, zasługują bezwzględnie na krytykę, a większa ich część zapewne i na potępienie, choćby dlatego, że „nie wolno czynić źle, aby było dobrze".

Na usprawiedliwienie można jedynie podać, że byli ciemni, szukali jakiegokolwiek odwetu na gnębiącej ich szlachcie, a gdy się napili, nie wiedzieli co czynili. Obojętne było wtedy dla nich, kto rządzi — Austriak czy Polak, „bies czy pies", — bo nigdzie by i tak nie mogli wyżebrać dla siebie sprawiedliwości.

Skorzystali z okazji i zaczęli ją sobie wymierzać sami. Może przeholowali, jeśli wyrżnęli coś około 2.000 szlachty, jeśli obliczenie nie jest przesadzone, ale ich zginęło pod batami znacznie więcej, bo miliony.

Najtragiczniejszym jest to, że ze szlachty zginęli najlepsi ludzie i patrioci, którzy myśleli o zniesieniu pańszczyzny, a ocaleli się służalcy Austrii i zdrajcy Polski i Narodu. Ale czyż to było winą chłopów? Do winy niech się przyznają ci co długie wieki trzymali lud w ciemnocie i poniżeniu.

Na nich się spełniło przysłowie o kiju, co ma dwa końce.

MACIEJ CZUŁA

---

*) *Fr. Lipiński: Słowo o Jakubie Szeli Nurty Nr. 4, 1938.*

STEFAN LICHAŃSKI

Próba nowej prozy

Znana tłumaczka Zofia Petersowa rozpoczęła swoją działalność literacką w okresie powojennym książką własną: reportażem „Wrzesień Warszawy 1939"*).

W przedmowie nazywa autorka swoją pracę reportażem-pamiętnikiem i pisze o niej: „Nie ma w książce niniejszej ani zmyślenia, ani fantazji: **tak rzeczywiście było"**. Autorka powinna by raczej użyć w tym wypadku zwrotu: ja to naprawdę tak właśnie widziałam. Bo na pewno niewielu z tych, którzy przeżyli oblężenie Warszawy, widziało tyle tak interesujących rzeczy: trzeba na to być pisarzem o nieprzeciętnych uzdolnieniach obserwatorskich i nieprzeciętnej umiejętności formułowania tych obserwacji w sposób jasny i bezpretensjonalny, a jednak bardzo sugestywny. To jedna strona medalu, ale jest i druga. Petersowa zdaje się podzielać dość rozpowszechnione mniemanie, że reportaż – to czysty obraz życia, niefałszowany i niewystylizowany, niepokalana „sztuką chytrą" prawda objektywna, którą należy przeciwstawić wszelkiej literackiej fikcji. Błędne to mniemanie, usprawiedliwione psychologicznie w naszym pokoleniu tęsknotą za realizmem, którym programowo pogardzały od dziesięcioleci, ku utrapieniu nieszczęsnych czytelników, wszelkie literackie pięknoduchy, ma w sobie jakiś sympatycznie romantyczny odcień religijnego niemal kultu dla dokumentu, faktu, ścisłości, doświadczenia, ale cenne jest raczej jako wyraz niewątpliwie zdrowej tendencji, niż jako obiektywnie słuszna ocena nowego rodzaju literackiego.

Reportaż powstaje tak samo jak każde inne dzieło literackie: tak samo odbywa się przy pracy nad nim selekcja materiału zbieranego drogą obserwacji, tak samo działają na formowanie się tego materiału w literacką całość – poza wszystkimi innymi – formalne wymagania, wynikające z potrzeb przyjętego przez autora schematu konstrukcyjnego, tak samo jak i wszelki inny utwór literacki zabarwia się reportaż elementami emocjonalnymi i wreszcie zawsze wypowiada się w nim – choćby ubocznie – prywatny światopogląd autora (nie należy mieszać z tzw. „myślą przewodnią").

Najbardziej podstawowa różnica pomiędzy reportażem a innymi rodzajami prozy artystycznej polega na tym, że na plan pierwszy wysuwa się w nim troska o przedstawienie faktów rzeczywistych z perspektywy jakiegoś takiego układu odniesienia, który konwencja światopoglądowa panująca w danym okresie i środowisku każe uważać za obiektywnie ważny i nadrzędny w stosunku i do autora i do czytelnika, podczas gdy w prozie artystycznej chodzi przede wszystkim o manifestację osobowości twórczej pisarza, fakty zaś (nawet w razie zajęcia stanowiska skrajnie naturalistycznego) są zawsze tylko materiałem do artystycznej obróbki. Jednym słowem: proces przykrawania, organizowania i stylizowania materiału, to wszystko więc, czym chętnie popisuje się np. powieściopisarz, ma być u reportażysty schowane, przeniesione w okres pracy przygotowawczej – w dziele zrealizowanym artyzm roboty musi wsiąknąć niejako w obraz dający jak najpełniejsze wrażenie „rzeczywistej rzeczywistości".

Fakty powyższe określają w znacznej mierze możliwości języka reportażu: Zasada czytelności, dostępności dla najszerszego kręgu czytelników jest w reportażu zasadą istotną, podczas, gdy w odniesieniu do powieści może ona być traktowana jedynie jako propozycja, którą autorowi wolno przyjąć lub nie przyjąć. Powieść „trudna" może być literaturą wysokiej klasy, trudny do czytania reportaż jest reportażem chybionym. Sam jednak postulat czytelności jest tylko zakreśleniem bardzo szerokich ram, w obrębie których wiele jest miejsca na indywidualne próby i poszukiwania dla pisarza reportażysty. Nie wystarczy więc stwierdzić, że dany reportaż jest czytelny, trzeba wziąć na warsztat metody pracy, przy pomocy których osiągnął autor tę czytelność, gdyż dopiero zanalizowanie rodzaju i jakości roboty pisarskiej jest decydujące dla określenia artystycznej rangi utworu.

Pierwsze zdania „Września Warszawy" brzmią następująco: „Sierpień obfitował w polityczne rozmowy, dociekania i rozważania. Zgadzano się na jedno: jeżeli Niemcy uderzą na Polskę, „połamią sobie na niej zęby". Wiedziano o odgrażaniu się chłopstwa, powtarzano wyrażenia żołnierzy, przypominano sobie setki depesz do naczelnego wodza z okazji „dni sierpniowych", obchodzonych tego roku wyjątkowo uroczyście ze względu na dwudziestopięciolecie legionowego czynu. W salonach i na ulicy, w kawiarniach i w sklepikach, wszędzie panował nastrój trochę buńczuczny, trochę niedowierzający, a na ogół niesłychanie pewny siebie". Autorka nie stara się bynajmniej o przedstawienie pełnego obrazu naszej sytuacji w sierpniu 1939 roku, poprzestając na zapisywaniu tego, co poznała ze ściśle osobistych obserwacji. To ścisłe określenie perspektywy, w jakiej ukazane być mają wypadki omawiane w książce, jest dobrowolnie przyjętym rygorem artystycznym, z którego autorka nie wyłamuje się ani razu, choć wiele ma do tego okazji i pokus. Wytrzymując zaś przez cały ciąg opowiadania jednolitość postawy pisarskiej, osiąga Petersowa to, o co tak trudno naszej prozie powieściowej, żyjącej ciągle pod urokami dwu wielkich majstrów stylistycznego efekciarstwa: Sienkiewicza i Żeromskiego, – rzeczową, spokojną prostotę stylu.

„Któregoś dnia przyniesiono na punkt od strony ulicy Jasnej nosze, z leżącą na nich starszą panią. Olbrzymie oczy patrzyły z przerażeniem i straszliwym cierpieniem z woskowo żółtej twarzy. Obok niej leżała osobno, odwrócona podeszwą do góry naga, trochę przybrudzona stopa. Ludzie postawili nosze na środku pokoju, a towarzyszący jej pan, blady, jak papier, ukląkł przy niej bez słów. Spojrzałam na obydwoje, szybko kazałam którejś z sióstr dać im kropli wzmacniających, po czym zabrałam się do opatrunku". Nie jest to stanowczo styl prozy powieściowej. Uwaga, że nosze przyniesiono „od strony ulicy Jasnej", wydaje się zgoła niepotrzebna. Przy dalszym czytaniu fragmentu spostrzegamy łatwo parę innych potknięć autorki, jak np. dwukrotne niezbyt zręczne posłużenie się zaimkiem osobowym, które powoduje niejasność zdań i to niejasność o komicznym efekcie (czy stopa leżała obok rannej, czy obok jej twarzy? czy starszy pan towarzyszył rannej, czy jej stopie?). Czy to są błędy? Chyba nie. Tak się nie pisze, ale tak się **mówi**. Otóż zwrócić tu trzeba uwagę na fakt, że autorka nie posługuje się stylem prozy powieściowej, ale daje po prostu zapis **relacji ustnej**. Ten reportaż nie jest niedociągniętą do wyżyn artyzmu powieścią, ale rezygnuje on z powieściowości na rzecz **opowiadania, prozy mówionej**. Nie znaczy to, by proza ta nie mogła osiągnąć efektów zgoła nieprzeciętnych, wystarczy przeczytać następny epizod: opis śmierci siedemnastoletniego harcerza.

A teraz stosunek autorki do tematów nasuwających się z ubocza, nieistotnych dla głównego nurtu opowiadania. Takim wątkiem tematycznym o tendencji do pasożytniczego rozrastania się kosztem głównego tematu jest sprawa siostry Pieji, zdemaskowanej po paru dniach pracy na punkcie opatrunkowym agentki niemieckiego wywiadu. Jest to wcale niezły temat do sensacyjnej noweli i na pewno niejeden pisarz nie oparłby się w tym wypadku pokusie i rozbudowałby szerzej historię pielęgniarki-szpiega. Petersowa tego nie robi, poświęca ona ten właśnie rozdział opisowi prac na punkcie opatrunkowym LOPP-u i dlatego rezygnuje dobrowolnie z szerszego rozpracowywania materiału nieistotnego dla obchodzącego ją zagadnienia. Zasada koncentracji opowiadania wokół jednej zasadniczej sprawy bierze górę nad ambicją literackiego efektu. Kompozycja **opowieści ustnej**, relacji bezpośredniej każe mówić o **wszystkim**, co się zdarzyło, byle tylko ubocznych zajść nie wysuwać na czoło.

Autorka zwierza się w przedmowie, że miała zamiar podawać fakty w porządku chronologicznym, ponieważ jednak trudno było po upływie kilku miesięcy przypomnieć sobie dokładnie kolejność zdarzeń, wybrała inne wyjście, „Pozostała zatem droga przeprowadzenia każdego tematu oddzielnie tj. od momentu jego narodzin przez fatalne te dni aż do momentu kapitulacji. Dlatego cały okres przewija się wielokrotnie, jakkolwiek za każdym razem ma inny aspekt". Całość reportażu została skomponowana jak utwór muzyczny: motyw zasadniczy, tzn. oblężenie Warszawy, pojawia się wielokrotnie na tle coraz to innych wątków tematycznych, jak np. praca na punkcie opatrunkowym, kłopoty mieszkaniowe i aprowizacyjne, wędrówka po ulicach oblężonej Warszawy itp. Rozwiązanie to jest chyba szczęśliwsze niż pierwotny pomysł kroniki. Owo stałe nawracanie motywu zasadniczego przy zmieniającej się scenarii potęguje nastrój, wzmacnia efekt, a jednocześnie budzi wrażenie daleko większej bezpośredniości opowiadania. Otrzymaliśmy w rezultacie jednolity cykl opowiadań zamiast jednej długiej opowieści – i stało się dobrze: mamy przeprowadzoną konsekwentnie aż do ogólnej kompozycji utworu narrację utrzymaną w prozie mówionej, a nie literackiej.

Nasz język literacki wymaga odświeżenia. Klasyczna proza polska, proza Rzewuskiego, Prusa, Orzeszkowej, Dygasińskiego nie ma w naszym pokoleniu godnych kontynuatorów, ostatnimi jej pogrobowcami byli Sieroszewski i Choynowski. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że dekadencję polskiej prozy rozpoczął już Sienkiewicz, u którego styl zaczyna być celem sam dla siebie. Sienkiewicz pierwszy zburzył równowagę pomiędzy językiem literackim a przedmiotem opisu, dając przewagę elementom zdobniczym nad opisowymi. Zanarchizowali zaś naszą nieszczęsną prozę do szczętu Żeromski, Przybyszewski i Kaden-Bandrowski. Charakterystyczne jest, że najwybitniejszy nasz nowator poetycki, Przyboś, tak wysoko ceni prozę dokumentarną. Jedynie bowiem radykalne zerwanie z młodopolską histerią i wszelką nadrealistyczno-ekspresjonistyczną ozkawką, niweczącą nawet najbardziej podstawowe rygory składni, może wyprowadzić naszą prozę ze ślepej uliczki bezstylowego chaosu. Nawrót do autentyku tematycznego i do mowy potocznej pozostają ze sobą w ścisłym związku: odnowienie materiału fabularnego prozy polskiej musi być uzupełnione przez odnowienie środków literackiej wypowiedzi.

Reportaż bynajmniej nie „wykańcza" powieści, jak to mniemają naiwni bałwochwalcy dokumentaryzmu literackiego, ale stwarza dla niej nowe możliwości rozwojowe. Wyciągnięcie wniosków z dobrze i gruntownie przemyślanej poetyki reportażu może przyczynić się do zaniku powieści o schemacie fabularnym przejętym z czasów, kiedy powieść była tylko „romansem", tzn. plotką lub bajką czytaną dla rozrywki, ale nie może w zupełności unicestwić tego tak bogatego rodzaju literackiego.

Na tle obecnej sytuacji w naszej prozie powieściowej śmiały nawrót do prozy mówionej, do języka bezpośredniej relacji czyni książkę Zofii Petersowej zjawiskiem nader miłym i krzepiącym. Nawrót ten był zresztą mimowolny i spowodowany pobudkami pozaartystycznymi, nie zmniejsza to jednak jego wagi. Autorka „Września Warszawy" ma szanse w dalszym ciągu eksperymentować z powodzeniem w kierunku wytyczonym przez jej ostatnią książkę. „Wrzesień Warszawy" jest nader cennym dokumentem, ale literacko jest – jeżeli nie pełnym osiągnięciem – to w każdym bądź razie odkryciem pewnej nowej możliwości. Zrobienie zaś pierwszego kroku na jakiejś nowej drodze – choćby nawet przypadkowe – jest niewątpliwą zasługą: ów pierwszy ślad będzie kusił i zachęcał innych wędrowców.

*) *Zofia Petersowa: Wrzesień Warszawy 1939, reportaż; Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana. Warszawa, 1946, str. 168.*

Narodowość i wyznanie

Granice naszego państwa przesunęły się na zachód i północ. Fakt ten spowodował wcielenie w obręb naszego składu narodowościowego nowej wielkiej gromady Polaków wyznania ewangelickiego. Problem Polaków ewangelików istniał u nas od czasów wielkiej reformacji i różne w ciągu dziejów przechodził koleje. Istniał i przed wojną ostatnią. Nie byliśmy w tej sprawie bez grzechów i błędów. Dziś powrót znacznej liczby Polaków-ewangelików na łono rodzinnego kraju aktualizuje to zagadnienie i stawia nas wobec faktu, że zdawkowe wyrażenie „Polak — to katolik" bardziej, niż kiedykolwiek nie oddaje istotnego stanu rzeczy.

Wielka rzesza Polaków-ewangelików stanowi dla naszego życia wyznaniowego problem rozszerzony i traktowanie go musi być oparte na naszych najpiękniejszych wzorach tolerancji w przeszłości. W ostatniej krwawej zawierusze Niemcy wyraźnie starali się wygrać ewangelików dla siebie. Opierali się oni na błędnym założeniu, że każdy ewangelik, to Niemiec. Rzeczywistość zadała temu kłam, a wydany w Cieszynie kalendarz ewangelicki na rok 1946 *) rejestruje tragiczne straty patriotycznego kościoła ewangelickiego w Polsce w latach 1939 — 1945.

Ponurą tę listę otwierają straty duchowieństwa ewangelickiego w Polsce. Kalendarz tak o nich mówi: „ciężkie straty poniósł nasz Kościół Ewangelicki w Polsce w czasie wojny. Z kilkuset księży pozostało przy życiu nie całe sto, a i z tych nie wszyscy jeszcze wrócili z wygnania, gdzie ich zapędziła wojna".

Wśród opisów martyrologii księży ewangelickich widnieją na początku nazwiska ks. dr. Juliusza Bursche i ks. dr Edmunda Bursche. O pierwszym kalendarz pisze: *„ks. dr Juliusz Bursche, biskup kościoła ewangelickiego w Rzeczpospolitej Polskiej. Aresztowany we wrześniu 1939 w Lublinie, przewieziony został do obozu w Sachsenhausen koło Oranienburga. Kilkakrotnie wzywany na przesłuchanie po jednym takim „przesłuchaniu" nie powrócił do celi. Zatłukli go eleganccy panowie z trupimi główkami na czapkach. Zarzucali mu Niemcy podczas przesłuchań cztery rzeczy: 1) udział w konferencji pokojowej w Wersalu 1919 r., jako rzeczoznawcy dla spraw mazurskich; 2) przewodnictwo komitetu mazurskiego w czasie plebiscytu na Mazurach w 1920 roku; 3) wypracowanie ustawy o stosunku kościoła ewangelicko-augsburskiego do Państwa Polskiego w 1936 r.; 4) wydanie manifestu we wrześniu 1939 r. do ludności ewangelickiej w Polsce potępiającego ideologię hitlerowską"*. Jest to zaprawdę wstrząsająca i zaszczytna metryka obywatelska Polaka-Ewangelika.

Pośród innych artykułów kalendarza zwracają uwagę rozważania Pawła Hulki-Laskowskiego na temat: „Wyznanie a narodowość", w którym autor naświetla losy ewangelicyzmu i ewangelików na tle naszych dziejów i niedawnej rzeczywistości wojennej. Warto zacytować, co w pewnym miejscu autor pisze: „ze stron zamieszkałych przez Mazurów ewangelickich dowiadujemy się, że przy całej światłej życzliwości wyższych organów administracyjnych dla naszych Mazurów, którzy tak wytrwale bronili się germanizacji i tak okrutnie byli degradowani przez zaborcze prusactwo, organy niższe naszych władz lokalnych, nie orientując się w różnicach między wyznaniem a narodowością, traktują tych biednych braci naszych jako Niemców".

Inny artykuł omawia współpracę ewangelików w odrodzeniu narodowym Śląska Cieszyńskiego w czasie, kiedy napór z jednej strony brutalnej germanizacji a z drugiej czechizacji osiągnął najwyższe nasilenie. Adolf Badura w artykule „Paweł Hulka-Laskowski, współczesny pisarz ewangelicki", kreśli sylwetkę P. Hulki-Laskowskiego na tle jego życiorysu jako literata, religiologa, pisarza i działacza ewangelickiego. Inne prace kalendarza dopełniają strony informacyjnej o stanie Kościoła Ewangelickiego w Polsce.

T. G.

*) *Kalendarz Ewangelicki na rok zwyczajny 1946 wydany przez grono ks. pastorów, rocznik pięćdziesiąty dziewiąty, Cieszyn 1946.*

ILIA ERENBURG
przekład Pawła Hertza

Po wyborach

Poniższy fragment stanowi przekład rozdziału powieści wybitnego pisarza radzieckiego Ilii Erenburga p. t. „Upadek Paryża", która w najbliższym czasie ukaże się w całości w polskim przekładzie Pawła Hertza nakładem Sp. Wyd. „Książka". Akcja zamieszczonego przez nas fragmentu toczy się w okresie wyborów parlamentarnych we Francji, które odbyły się na kilka lat przed wojną. W wyborach tych, jak wiemy zwyciężył Front ludowy, koalicja stronnictw demokratycznych. Jednakże wskutek błędnej polityki ówczesnej socjalistycznej partii Francji oraz intryg radykałów, którzy jakkolwiek przyłączyli się do Frontu Ludowego, starali się jednocześnie rozsadzić go od wewnątrz, gabinet upadł i prezydent powierzył formowanie nowego rządu Daladierowi.

W zamieszczonym przez nas fragmencie Erenburg opisuje spotkanie wielkiego finansisty Dessere'a z premierem rządu Viardem. Jakkolwiek nazwiska osób są fikcyjne, rozpoznajemy w nich postaci znane nam z życia politycznego Francji przedwojennej.

Zwycięstwo Frontu Ludowego zaniepokoiło mieszczuchów: mówili o grożących strajkach, o kryzysie, o nieporządkach. Przestraszone damy szeptały między sobą: „Moja służąca rozzuchwaliła się!" Sklepikarze chowali produkty. Wyżsi urzędnicy wyjaśniali pobłażliwie, że nie będą słuchać nowych ministrów: „To kacyki na godzinę". Breteuil zaproponował wszystkim „uczciwym Francuzom", by udekorowali swoje domy flagami narodowymi i w ten sposób zaprotestowali przeciwko Frontowi Ludowemu. Na niektórych ulicach fasady domów były ozdobione trójkolorowymi flagami, inne — czerwonymi i wydawało się, że nie tylko ludzie, ale i cegły gotowe są rzucić się na siebie. W sferach finansowych panowała niepewność; mówiono o wielkich podatkach od kapitału, nawet o nacjonalizacji banków. Kapitaliści wysyłali pośpiesznie pieniądze do Ameryki. Tylko Dessère zachował całkowity spokój. „Jak pan może pracować w takich czasach?" — spytał go znajomy bankier. Dessère odpowiedział mu: „Niech mi pan powie, czym różni się Blum od Sarrauta? Jestem nazbyt gruboskórny, żeby rozróżnić takie drobne odcienie". Dowiedziawszy się, że Viard został mianowany ministrem, Dessère postanowił z nim szczerze porozmawiać: to przecież dzieciaki, mogą narobić głupstw... Zatelefonował do Viarda: „Już dawno miałem ochotę obejrzeć pańską kolekcję obrazów..."

Viard na wiecach niejednokrotnie wspominał nazwisko Dessère'a; mówił, że Dessère to typ bezwstydnego aferzysty. Jednak dowiedziawszy się o oczekującej go wizycie, pomyślał z dumą: a przecież Dessère mnie wybrał! Nie pamiętał już o swoich przemówieniach, w których demaskował Dessère'a: żył teraz jak chłopiec, któremu wszystko wydaje się nowe. Minął zaledwie tydzień, gdy został ministrem, a nie tylko inaczej teraz myślał, lecz nawet inaczej się uśmiechał i inaczej zakładał nogę na nogę; wszystkie jego myśli i gesty były podporządkowane nowej sytuacji, w której się znalazł.

Dessère pamiętał o wszystkim, lecz obojętnie przyjmował zarówno przykrości jak pochwały, pogardzał słowami. Przywitał się z Viardem:

— Drogi przyjacielu, jestem szczęśliwy, że widzę pana na tym stanowisku.

Sztuczność rozmowy znikła w obliczu obrazów. Viard od razu zrozumiał, że Dessère zna się na malarstwie. Prowadzili miłą rozmowę o „niebieskim okresie" Picassa, o Utrillu, o rysunkach Matissa. Oglądając szkice Modiglianiego, pełne lękliwych przeczuć, Dessère rzekł:

— To niesłychane, jak w statycznej sztuce wyraża się skrajność, nawet nadmiar...

— Podziwiam to samo u starych mistrzów: u Greca, Zurbarana...

Dessère wyjął fajkę z ust, otoczył rozmówcę ostrym dymem (palił tani czarny tytoń) i nagle powiedział:

— No, teraz będzie się pan musiał tego wyrzec. Trudno, sam pan sobie wybrał zawód polityka. Ja na przykład mogę ryzykować. Każda sztuka ma swoje prawa. Polityka — to wielkie długie mowy i malutkie sprawy. Popierałem pana w czasie wyborów, gotów jestem dalej panu pomagać. Ale ilu jest takich jak ja? Giełda pana nienawidzi, dla Wendla jest pan bandytą, dla panów z „Credit Lyonnais" — włamywaczem. Wystarczy, żeby pan uczynił jeden nieostrożny krok, a oni pana rozszarpią. Na to nie potrzeba ani spisków, ani intryg w parlamencie, wystarczy dewaluacja franka. Zobaczy pan, co wtedy zaśpiewają robotnicy. Nie mówię już o rentierach: ci będą krzyczeć: „Viarda pod ścianę!". Ma pan pięknego Braque'a... nie bardzo lubię jego obrazy, nieco suche, ale ta martwa natura — to jedno z lepszych płócien. Pamięta pan? Braque powiedział, że „artysta powinien linijką sprawdzać natchnienie". Pan będzie musiał sprawdzać realność socjalistycznych projektów według kursu franka...

Viard zirytował się; miał ochotę odpowiedzieć: zabronimy wywozu kapitałów, ustalimy twardy kurs franka, wpakujemy was do więzienia! Lecz ten wybuch trwał nie dłużej niż minutę. Viard przypomniał sobie o swojej odpowiedzialności.

— Nie trzeba nam wsadzać kija w szprychy. Przecież stabilizacja rządu — to jedyna gwarancja pokojowego rozwiązania konfliktu.

— Oczywiście. Odnosi się to również i do sytuacji międzynarodowej. Aha, mam nadzieję, że w tej dziedzinie wykorzysta pan doświadczenie naszego wspólnego przyjaciela: Tessata.

Viard zmarszczył się niedostrzegalnie; uważał Tessata za swojego wroga. Ale Dessère nie śledził jego mimiki:

— Jestem pewien — ciągnął Dessère — że uda się panu zachować pokój. Niewątpliwie, Hitler jest nieznośny, lecz lepsze są najdalej idące ustępstwa, niż wojna.

Viard promieniał. Bał się, że Dessère w obawie przed niebezpieczeństwem z zewnątrz zacznie pobrzękiwać szabelką. Lecz nie! Dessère jest również zwolennikiem pokoju! Viard mocno uścisnął mu dłoń:

— Niech pan będzie pewien — dopóki jestem u władzy — żadnych awantur nie będzie! Nie dopuszczę do tego, by francuscy chłopi umierali za Abisyńczyków lub Czechów.

Pożegnawszy Dessère'a, Viard westchnął z ulgą jak uczeń, który zdał trudny egzamin. Dessère broni swoich interesów, to jasne. Ale teraz wszystko tak się poplątało! Interesy Dessère'a pokrywają się z interesami robotników. Dessère — to szczery pacyfista. To znaczy, że Viard reprezentuje nie klasę czy partię, lecz cały naród...

Wszedł sekretarz, niosąc dokumenty do podpisu: polecenie przeniesienia urzędnika, poważnie zaangażowanego w organizacji Breteu'la. Viard odsunął dokument:

— Po co wszystkich do siebie zrażać?

Żartując dodał:

— Trzeba, mój przyjacielu, nauczyć się rządzić czterdziestoma milionami. W czasach Marksa proletariusze mieli do stracenia tylko swoje kajdany, a mogli zawojować cały świat. A dziś my możemy zgubić cały świat, a zawojować tylko kajdany.

Wyszedłszy na ulicę Dessère otrząsnął się z obrzydzeniem. Wszystko okazało się niespodziewanie łatwe!... I takiemu Viardowi ufa Piotr! Nie tylko Piotr, miliony... Tak, ludzie są głupi, w tym zapewne ich zbawienie.

Dessère powinien był pojechać na posiedzenie finansowych ekspertów, ale zamyślił się: zmęczyło go tchórzostwo Viarda. Szedł teraz długą ulicą Rivoli. Doszedłszy do placu Bastylii skręcił w boczną uliczkę i zobaczył świecący się szyld knajpki, w której tańczono. Nie namyślając się wszedł: chciał zapomnieć!

Harmonista fałszywie grał stare fokstroty. Papierowe lampiony i girlandy z bibułki nadawały lokalowi charakter teatralnej dekoracji. Wokół Dessère'a tańczyli marynarze, robotnicy, modystki, pokojówki...

Dessère wręczył orkiestrze pięć sous, należne za taniec i pochwycił wpół otyłą, piegowatą dziewczynę. Pachniała tanim pudrem, z rozkoszy wywracała oczyma. Potem poczęstował ją wiśniakiem.

— Lubi pani tańczyć?

Dziewczyna okazała się bardzo rozmowna:

— Bardzo! Ale rzadko mi się zdarza. Pracuję do szóstej. A czasem muszę jeszcze brać robotę z pracowni do domu. Wie pan, ile mi płacą? Pięćset miesięcznie! Czy z tego można wyżyć? Mówią że teraz to się wszystko zmieni. Tam, gdzie pracuję, oświadczono majstrowej, że jeśli nie dostaniemy podwyżki, to będzie strajk. Bo teraz mamy front ludowy i nikt nie chce takiego życia, jak dawniej. Prawda?

Dessère wytrząsnął popiół z fajki i, zmarszczywszy swoje grube brwi, rzekł:

— Pewnie, pewnie! Napewno wszystko się zmieni... O, na przykład blondyni tańczyli dotąd z brunetkami, a Viard każe, żeby brunetki tańczyły z blondynami. Do widzenia, moja miła panienko! Muszę już wracać do domu.

Głos Kaszuba

Listy, jakie napływają do naszej redakcji, dają się grupować w różnoraki sposób i stanowią ciekawy obraz udziału wielkiej liczby ludzi w życiu umysłowym różnych terenów kraju. Można śmiało twierdzić, że obszary południowe naszych ziem są literacko i publicystycznie najruchliwsze. Stąd przychodzą artykuły, proza beletrystyczna, wiersze. Zachód i wschód przemawia już słabiej, choć ostatnio można zanotować kilka całkiem ciekawych pozycji: Poznań, Wrocław, Katowice.

Podobnie rzecz się miała z północą. Tu brakowało głosu prawdziwego przedstawiciela wybrzeża morskiego, kaszuba. Ostatnio jednak przyszedł do nas list z pracami Antoniego Pipera, rybaka z Jastarni. Kiedy się czyta jego zwierzenia, to zdaje się jakby Piper chował się cokolwiek ze swoim zajęciem za plecy rodziny. „Sam tym zawodem mało się trudnię, nie mając zamiłowania do tego ani sił fizycznych" — „obecnie żyję na utrzymaniu brata" — te zdania świadczą, że zawód rybaka traktuje raczej ubocznie.

Mimo tych zastrzeżeń zawodowych to pewne, że Piper jest kaszubem bezsprzecznie, synem rybaka i tamto środowisko zna dobrze bo przebywa w nim od urodzenia. Jego krótki życiorys przypomina podobnego pokroju listy z innych dzielnic Polski. Ale wynosi i pewne rzeczy nowe. Co go z tamtymi łączy? Oto owa wspólna wszystkim jednostkom prężnym duchowo dążność do światła wiedzy hamowana materialnym niedostatkiem i zespołem nieprzyjaznych, często wrogich warunków społecznych następnie piętno nędzy życia naszych tzw. dołów społecznych.

To samo zagadnienie stanowi tragiczny wydźwięk książek takich jak „Młode pokolenie chłopów", „Pamiętniki chłopów", „Życiorysy wiejskich działaczy", „Życiorys własny robotnika" Jakuba Wojciechowskiego. Tysiące takich było którzy w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach chwytali odrobinę wiedzy znosząc głód, poniewierkę i poniżenie, a nie raz i pogardę otoczenia.

Co dzieli Antoniego Pipera od innych?

Fragment listu, który drukujemy, sam najlepiej na to odpowiada. Więc środowisko zawodowe, i otoczenie rybackie, ale jest ono raczej zjawiskiem drugorzędnym. Na czoło wybija się inna sprawa. Antoni Piper urodził się i żyje nad Bałtykiem. Od wieków w niemieckim parciu na wschód szlak nadbałtycki jest szczególnie ważny. Walki narodowe są tu nadzwyczaj ostre, a straty bolesne, bo tu ludzie dzielą się tylko na Niemców lub Polaków. Walka z zachłannym naciskiem niemieckiego nacjonalizmu zapoczątkowana od czasów osiedlenia się tu zakonu rycerskiego Najświętszej Marii Panny trwa do dziś: to rozumie i odczuwa Antoni Piper, który jest świadomym bojowym Polakiem. tg

**
*

Jestem rybakiem, a właściwiej tylko synem rybaka kaszubskiego z Jastarni, bo sam zawodem tym się mało trudnię, nie mając zamiłowania ani sił fizycznych. Urodziłem się takim już „odmieńcem", jak powiadają o mnie starzy miejscowi kaszubi, którzy woleliby, aby zawsze po ojcu syn dziedziczył jego rzemiosło. To też nie jestem przez starsze społeczeństwo rozumiany, inaczej już jest z młodym pokoleniem. — Zamiłowanie i pociąg do nauki w krwi mi zaszczepiony. Po ukończeniu szkoły powszechnej pragnąłem usilnie uczyć się dalej, lecz zamiar ten był dla mnie nieosiągalny z powodu ubóstwa i braku zrozumienia rodziców w tej potrzebie. Kilkakrotnie zwracałem się do władz polskich przed wojną w tej sprawie o pomoc, lecz otrzymywałem zawsze jedną odpowiedź: „...z braku środków na ten cel nie możemy panu nic pomóc". Rozpocząłem więc sam zdobywać okruchy wiedzy, walczyć wpierw o książki, których kupić sobie nie mogłem, ponieważ nie stać mnie na to było. Z książkami kryłem się po strychu, po kątach mieszkania, gdzie ciemno było, psując sobie wzrok przez dłuższą chorobę nerwów ocznych, szukając porady okulisty, gdy choroba była w poważnym już stadium rozwoju i poważne upośledzenie zatrzymałem do dzisiaj. Posiadałem na moje warunki materialne pokaźną już bibliotekę złożoną z 300 dzieł literatury narodowej polskiej i obcej i w czasie okupacji nietylko zbiorku swego nie pomniejszyłem, ale nawet znacznie powiększyłem. Mimo rewizji, jakie kilkakrotnie Niemcy u mnie przeprowadzali, książki te zachowałem prawie do ostatniej chwili. Jednak dwa miesiące przed kapitulacją ogólną Niemiec, gdy skrawek półwyspu Helu objęty został także działaniem wojennym, zostałem przymusowo przez SS-owców wywieziony do Rzeszy, a gdy powróciłem w czerwcu do domu, zastałem chatę swą zniszczoną i zupełnie wyplądrowaną przez Niemców, a książek bardzo niewiele w stanie możliwym znalazłem, podarte i bardzo zniszczone zostały, a wiele brakowało, może spalone zostały przez żołnierzy niemieckich, kwaterujących w chałupie mojej. Wszystko zginęło. Obecnie posiadam ze swoich naprawdę rzeczy: 1 ubranie zniszczone już, parę butów komiśnych i cywilnych, 2 swetry i nieco najkonieczniejszej bielizny: to cały mój własny majątek. Jestem bez pracy ponieważ nie ma dla mnie pracy odpowiedniej w gminie naszej, z czego mi bardzo przykro i smutno, gdyż tak moralnie cierpiałem pod okupacją i tak wyglądałem tej Wolnej Polski! Dziś niejeden eingedeutsch lub volksdeutsch u nas w lepszych znacznie żyje warunkach, gdy ja nie widzę swej przyszłości zbyt różowo. Nieraz nawet żałuję, że nie zginąłem w czasie okupacji niemieckiej od oprawców hitlerowskich za polskość, bo dziś zdaje mi się, jestem nikomu niepotrzebny, conajmniej u nas. Należę obecnie do Polskiego Związku Zachodniego i pracuję honorowo dla dobra kraju, ale żołądek mój nie jest tak idealny, by obszedł się bez niczego, a duch tak samo potrzebuje pokarmu!... Choć nadesłane przeze mnie wiersze pochodzą z niedawnej przeszłości ponurej okupacji i dlatego mogą być uważane przez obywateli za nieaktualne już, gdy Polska jest Niepodległa już dziś, ale to co wtedy czułem i co przeżywałem w duszy niech pozostanie jako dowód, że nie wszyscy kaszubi i nie wszyscy rybacy z półwyspu helskiego czuli się Niemcami i nie wszyscy wyglądali Hitlera i witali wojska. Ja osobiście dużo przez swoich niby ludzi, przez rybaków, byłem prześladowany i szykanowany za to, że w roku 1939 krótko przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej na tablicy ogłoszeniowej przyklejałem wiersze treści antyniemieckiej i niecąc ducha bojowego przeciw nim wśród miejscowego społeczeństwa. Byli tacy, którzy zrywali pokryjomu te afisze moje i, gdy Niemcy weszli do Jastarni, starali się zrobić użytek, innymi słowy dążyli do tego, by mnie zgładzić. Szczęśliwie nic nie zdziałali. Widząc jak niedawni Polacy witali wojsko hitlerowskie, ściskając dłonie oficerom i kwiaty wręczając im jako zwycięzcom i wybawicielom, słysząc z ust, które do niedawna krzyczały na głos: Niech żyje Polska! — słowa obelg przeciw Polsce i Polakom, znieważając ich honor i honor Rzeczypospolitej, jak nie miało serce moje krwawić nad taką zdradą, fałszywością i zaślepieniem? Nie miałem też rozkosznego życia pomiędzy takimi ludźmi. Nie odnosi się to do wszystkich kaszubów, bo na szczęście byli i inni, którzy może nie płakali z tego powodu, ale Niemców nie chcieli. Obecnie żyję na utrzymaniu brata, który żywi mnie i starego ojca. Ale tak nie może być przecież zawsze. Więc lękam się przyszłości, bo widzę, że nikt z miejscowego społeczeństwa nie poda mi ręki.

ANTONI PIPER

Nr 11 (39) „WSI" ZAWIERAŁ:

Stanisław Cieślak — **O przebudowę rynku rolniczego;** Antoni Olcha — **Wczoraj;** Roman Bratny — **Światu i nikomu;** Stanisław Piętak — **Podczas pogromu, Przechadzka z ukochaną, Na wigilię 1945 roku, W dzienniku, Opowieść, Po drodze do domu, Postój w nieznanej wiosce, Ogród;** Czesław Jastrzębiec - Kozłowski — **Śpiewna dusza ludu jugosłowiańskiego;** Witold Zalewski — **Marcin Kempka;** Zygmunt Kałużyński — **Nowy realizm malarski,** Stefan Lichański — **Autorzy i czytelnicy;** E. Marzec. — **Uwagi nad uwagami;** Dyskusja — **Kto jest chłopem?** oraz listy i ogłoszenia. 4 ilustracje, 8 stron.

UWAGA !

Kto może podać za wysokim wynagrodzeniem bliższe szczegóły o dziecku JANKU FEUEREISENIE (Jakób Kopel) urodzonym 30 września 1941 r., zamieszkałym: Kraków Podgórze, Rynek 12, którym się zaopiekowała służąca w okresie wysiedlania Żydów z ghetta krakowskiego w 1943 r.

Wiadomości prosimy kierować do Redakcji „Wsi".

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław.
KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 1-00-98 Redakcja rękopisów nie zwraca. Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 ½ kolumny zł 30.000, ¼ kolumny 15.000, 1/8 komumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpaltę.
Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wieś" Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D—02722 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2.